№ 31. Warszawa, dnia 4 Sierpnia (23 Lipca) 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

CZEKAĆ.

Nietylko „dobrze poinformowane," ale nawet urzędowe i półurzędowe dzienniki przemówiły w sprawie zjazdu monarchów, a mimo to ani jeden jasny promień zagadki nie rozświecił. Jeżeli wierzyć mamy muzom Homerów Achillesa pruskiego, jedynym rezultatem owego spotkania jest hasło: „czekać." Mianowicie oba rządy doszły podobno do przekonania, że wszelka energiczna działalność w tej porze byłaby niewłaściwą, że ks. Koburski, który swym uporem tworzy najostrzejszy rozdźwięk w ogólnej harmonii, prędko utraci grunt pod stopami a gdy sam naturalny bieg wypadków wyrzuci go z Bułgaryi, wtedy będzie można osadzić na jej tronie księcia przyjemnego wszystkim mocarstwom. Znaczyłoby to, że żadne ściśle określone układy zawarte nie zostały. Pośrednie stwierdzenie tego domysłu widzimy w postawie prasy niemieckiej, służącej kanclerzowi. Było to rzeczywiście uderzającem, że ona przez cały czas bytności swego monarchy w Peterhofie albo bąkała przygryzki pod adresem dzienników ruskich, albo rzucała gorzkie półsłówka, albo usiłowała zachować minę możliwie chłodną. Dostrzegły tę manifestacyę gazety petersburskie i moskiewskie i podkreśliwszy ją, umiarkowały nieco ton swoich uniesień a nawet ujawniły pewien żal i wątpienie. Ponieważ w żadnym ze światów nie panuje taka prawidłowa celowość, jak w świecie dziennikarskiej służby ks. Bismarka, więc począwszy od *Graždanina* a skończywszy na *Timesie* wszyscy zadali sobie pytanie: jaki był cel dąsów półurzędówek berlińskich? Za możliwe uznano tylko dwie odpowiedzi: albo stadko godzinowo chciało okazać, że Wilhelm II przedsięwziął podróż na własną rękę i poniekąd wbrew swemu pierwszemu doradcy, albo też ów doradca za pomocą swych organów przykładał plastry łagodzące na serce strwożonej Austryi. Właściwie obie te odpowiedzi stapiają się w jedną, gdyż obie mają wspólny mianownik— Austryę. O nią niewątpliwie chodziło.

Trudno byłoby w Europie znaleźć dziś inne państwo w równie mizernej doli, a stanowczo nie ma drugiego, nie wyłączając najmniejszych, które byłoby w tym stopniu ubezwłasnowolnione, pozbawione swojej osi, swojego punktu ciężkości. Po za życiem ludów dzikich i barbarzyńskich, po za wypadkami niewoli jednostkowej daremnie szukalibyśmy takiego stosunku, jaki wiąże Austryę z Prusami. Rozbita przez nie, sponiewierana, zdeptana, stała się ich wierną służebnicą i zapamiętałą przyjaciółką. Podobna do owej baby, której „wątroba gnije, gdy jej mąż nie bije," przywiązywała się do swego pana w miarę wzrostu jego nad nią władzy. Objawy nienawiści odwetowej przeciw Niemcom we Francyi są psychologicznie zrozumiałe, naturalne; ale czułość obitej sąsiadki, czułość szczera i niezmienna przedstawia zagadkowe dziwo. Gdybyśmy teoretycznie powiedzieli, że ktoś zakocha się w swoim wrogu, że jakieś mocarstwo przylgnie do swego pogromcy, nikt by nie uwierzył. A jednak zrobiła to Austrya — po Sadowie i utracie przewodnictwa w Rzeszy niemieckiej.

Państwo, które dobrowolnie poszło w służbę u swego nieprzyjaciela i do ofiar wymuszonych dodało mu zrzeczenie się samodzielności, nie może już myśleć o swobodnem władaniu swymi losami. Podczas gdy każde inne idzie naprzód wpatrzone w jakąś gwiazdę, w jakąś ideę, to postępuje wpatrzone jedynie w swego pana. Tak czyni Austrya, mniej dziś niezależna, niż Czarnogórze. Jej plany nie sięgają po za kres ostatniego wyrazu życzeń suzerena, ona nie wie, co ma myśleć i przedsiębrać, bić się, czy używać spokoju. Przykuta do cudzej woli, nie zna jej odleglejszych zamiarów, zna tylko bieżące rozkazy. Przed sobą nawet nie umiałaby powiedzieć, co władca z nią pocznie: czy dłużej zachowa w poddaństwie, czy ją odpędzi, czy komu innemu odstąpi.

Tymczasem ją trzyma i żywi. Właśnie dla uspokojenia przerażonej prasa kanclerska w zeszłym tygodniu podawała jej ciągle orzeźwiające krople. Przygryzki i obłudne napomknienia o zjeździe monarchów, spadające z kolumn *Nordd. Allg. Ztng*, miały znaczenie rosy, zwilżającej spieczone usta Austryi. A ona biedaczka podnosiła ku Berlinowi oczy łzami wdzięczności napełnione, dziękując za to miłosierdzie.

Czy popełnimy przesadę, twierdząc, że głównym węzłem obecnej środkowo-europejskiej polityki nie jest Bułgarya, Serbia lub nawet Turcya, lecz Austrya? Bo czy podobna rozplątać najdrobniejszy supełek „kwestyi wschodniej" bez dotknięcia Austryi? Czy w niej, jak w splocie nie zbiegają się wszystkie nici tej powikłanej sprawy? A co za prawa będą ją rozstrzygały? Tylko interesy. Ale ten sam interes, który każe gospodarzowi doić krowę, każe mu ją również, gdy stara, sprzedać na rzeź lub zabić. W podobnym stosunku znajduje się Austrya wobec gospodarstwa politycznego Niemiec. Dziś ją doją — a jutro — za rok — dwa?

Jakaż więc najprzyjemniejsza nowina mogła po spotkaniu monarchów przybyć do Wiednia? Tylko ta, którą telegraf rozniósł: czekać — na ten rok pokój zapewniony. Mimo wszystkich karabinów magazynowych służebnica, lamentująca nad brzegami Dunaju, odetchnęła. Jeszcze w tym roku do szlachtuza nie pójdzie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dalsza podróż Wilhelma II do Sztokholmu i Kopenhagi nie zaostrzała już ciekawości ogólnej w tym stopniu, co zjazd peterhofski a nawet osłabiła ją nieco. Gdyby bowiem cesarz niemiecki ograniczył się na pierwszych odwiedzinach, przypisywano by im szczególne znaczenie; ale skoro objechał lub objedzie rozmaite dwory, być więc może — tak rozumują niektórzy — że składa tylko wizyty bez zamiarów politycznych. W tem dowodzeniu jest nieco słuszności: kto wszystkich odwiedza, z nikim nie chce walczyć. Ale zarazem obecność Herberta Bismarka, który jak cień posuwa się za monarchą, wskazuje, że ten objazd nie jest zwykłą wycieczką, co nawet byłoby logicznie dziwnem. Wątpimy, ażeby kiedykolwiek władcy spotykali się jedynie dla gawędki, bez żadnych powodów i celów politycznych.

We wrześniu ma Wilhelm II odwiedzić cesarza Ferdynanda a w październiku — króla Humberta. Ta ostatnia podróż napotkała już pewne trudności w roszczeniach papieskich. Jak wiadomo, Leon XIII włożył sobie również na głowę koronę świecką poprzednika i usiłuje podtrzymać dawno już faktycznie rozproszoną fikcyę swego panowania nad Rzymem. Każdy przeto monarcha, odwiedzający króla włoskiego w jego stolicy, którą papież uparcie nazywa swoją, przyznaje niejako prawomocność istniejącego stanu rzeczy. Otóż „dyplomaci namiestnika Chrystusowego“ puścili w ruch swe wpływy dla zapobieżenia temu wypadkowi, jednocześnie zaś radykalna prasa włoska postawiła ostro zasadę, że król przyjmuje wizyty monarchów tylko w własnej stolicy — w Rzymie i bez krzywdy dla swej godności nie może wyjeżdżać gdzieindziej. Wiadomo, że ta sprawa powstrzymuje dotąd cesarza austryackiego. Czy Wilhelm II, jako protestant a więc mniej potrzebujący liczyć się z papieżem, odsunie na bok te pretensye, czy im dogodzi — tak głoszą — połowicznie, tj. zamieszka w gmachu własnego poselstwa i naprzód pojedzie do Watykanu a potem do Kwirynału — zobaczymy.

Przed paru laty zachowawcy sejmów niemieckich zawarli przy wyborach z narodowo-liberalnymi umowę (kartel). Dwu nierównej rasy i siły koniom w jednym zaprzęgu nie wygodnie było ciągnąć rydwan ks. Bismarka. Tamci gardzili swoimi wspólnikami, ci opierali się ich wstecznym ruchom. Obecnie — z powodu nadchodzących wyborów do sejmu pruskiego— konserwatyści postanowili zerwać układ i wystąpić samodzielnie. Kanclerz, któremu nie wszystkie żądania junkrów smakują i który lubi posiadać w sejmach większość różnorodną, dającą się łatwo, stosownie do potrzeby, rozłamywać i sklejać, bardzo gniewnie spojrzał na te wyzwoliny swych podkomendnych i przystawia im w *Nordd. Allg. Ztng* bańki cięte. Naturalnie dotychczasowi patryoci i podpory rządu nazywają się teraz wyznawcami polityki nienarodowej i wrogami państwa, bo w Prusach naród, państwo i kanclerz są wyrazami i pojęciami jednoznacznemi.

Dziwny wypadek uderzył mocno o stopnie tronu austryackiego. Dowódca III korpusu, generał Kuhn został złożony z urzędu, według jednych — skutkiem starości, według innych — skutkiem intryg dworskich. Oficerowie, żegnając swego hetmana, wyprawili mu manifestacyjną ucztę (z obnoszeniem na rękach, wyprzęganiem koni itd.), a tem samem pośrednio oświadczyli się przeciw woli monarchy. Wrzawa już nieco cichnie—a winowajcy zapewne po cichu otrzymają stosowną zapłatę.

Uroczystości obchodu 900 rocznicy chrztu Rusi już się zakończyły. Odbywały się one bardzo wystawnie i śród licznego napływu wiernych, których pomnożyło grono gości zagranicznych. Pamiątka faktu religijnego musiała wyrazić się przedewszystkiem w obrzędach religijnych, które jednak zamknięto zabawą i rzęsistą iluminacyą rzeki oraz okolic miasta.

W dniu głównie święconym zmarł nagle, rażony atakiem apoplektycznym, generał gubernator kijowski, a niegdyś kierownik III oddziału (szef żandarmów) Drenteln.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

GWIAZDA ZBRODNI.

I w naszem życiu od czasu do czasu dostrzegane bywają ślady zdradzieckich podkopów, którymi agenci zagraniczni chwytają łatwowiernych w sidła obietnic szczęścia za Oceanem a wywiezionych rzucają na pastwę srogiego losu. Niedawno przyłapano niesumienne ręce, które złowiły kilkanaście ofiar niby dla stanów Argentyńskich; słyszeliśmy o podobnych robotach około Nieszawy i w innych okolicach; ale z natury rzeczy wynika, że taka niecnota nie może u nas krzewić się zbyt szeroko. Są to zwykle przedsięwzięcia zaledwie rozpoczęte i urwane.

Co innego w Austryi, gdzie żywioły najpodlejsze korzystają z tej samej wolności, która jest zapewniona szlachetnym, gdzie z tą samą swobodą można uczyć i ogłupiać, uzacniać i upadlać, wspierać i mordować. To też Galicya, kraj biedny i ciemny, była oddawna klasycznym gruntem kuszeń ludu do emigracyi. Wywędrowały corocznie tysiące, ginąc po drodze lub zaprzedając się w niewolę. Początki tego ruchu przed 20 laty nie miały znamion handlu złodziejskiego. Niektórzy jego apostołowie, jak ks. Orzechowski, Szymon Dereń, Marya Konopkowa, wywędrowawszy do Ameryki, stamtąd lub po powrocie do kraju werbowali ziomków opisami bajecznych dobrodziejstw i wygód w nowym świecie. Zwolna wszakże na tym odpływie emigracyjnym spekulanci zaczęli stawiać swoje młynki. Rząd dostrzegł niebezpieczeństwa i krzywdy, ale zapobiegał im tylko radami i przestrogami. Środki te nic skutkowały: lud tłumnie wyprzedawał ziemię i uciekał do Ameryki. Naturalnie ulegał on namowom gęsto uwijających się agentów. Oprócz tych, którzy działali na własną rękę lub w służbie niewiadomej, wystąpili jawnie naganiacze ludzkiej zwierzyny dwu towarzystw żeglarskich: *Nordd. Lloyd* w Bremie i *Pack. Amerik. Actiengesellschaft* w Hamburgu. Jednym z najczęściej używanych środków propagandy były podrabiane i ja-

---

Gracz z Monte-Carlo

przez

Ernesta Ecksteina.

Blade, nieruchome oblicza o szklistem spojrzeniu, o zlekka drgających nozdrzach i konwulsyjnie zaciśniętych ustach — te efektowne obrazy tajemnie burzącej się namiętności, trawiącej żądzy pieniędzy i okropnego nastroju *Va-banque* były już tylokrotnie przedstawiane, że czytelnik, który nie zna z własnego doświadczenia owego życia przy *trente et quarante* i przy rulecie, musiał nabyć przekonania, że te szpetne postacie, ulepione na poły z nędzy i napoły z występku, stanowią większość publiczności domu gry, podczas gdy reszta składa się z jaskrawo umalowanych kokietek francuzkich i ciekawych turystów.

Jednakże to zapatrywanie powieściowe tchnie znaczną dozą konwencyonalizmu. Charakterystyczne typy sali gry w Monte-Carlo liczą się na tuziny; pomiędzy nimi niektóre są prawdziwie zabawne, potulne, inne wcale sympatyczne z widocznym odcieniem powagi i nawet z krojem filozoficznym.

Dom gry — co do tego nie ma żadnej wątpliwości — przedstawia dla tysięcy i dziesiątków tysięcy wysoce niebezpieczny grunt, a to z tej prostej przyczyny, że większość ludzi nie może się pochwalić tą siłą charakteru, która pozwala na bezkarny pobyt pod palmami w Monte-Carlo.

Przyznajemy także, iż w samej zasadzie domów gry tkwi pierwiastek niemoralny, że przekuwanie słabości ludzkiej na brzęczący kapitał obraża obyczajność.

Atoli pomiędzy gośćmi w Monte-Carlo spotyka się ludzi, którzy w poczuciu własnej pewności zaprzeczają ogólnemu niebezpieczeństwu i z nieskończoną rozkoszą poddają się ponętnym koloraturom bogato przystrojonej syreny. Rozumieją oni dobrze swoje położenie. Wiedzą, że na wzór Odysseusza przywiązani są do masztu postronkami siły woli. Dzielnie kierowana łódź wyniesie ich bez szwanku.

Przed paru laty poznałem w Westend-Hotelu, w San-Remo, pierwowzór takiego pełnego rozumu, spokojnego i roztropnego gracza okolicznościowego i właśnie z jego ust słyszałem zdania o moralności gry hazardowej, bardzo sprzeczne z teoryą powszechnie przyjętą.

Podkreśliłem słowo: „teorya,“ gdyż w praktyce rzecz ma się wcale inaczej. Większość turystów, którzy „w zasadzie“ uznają za niegodne dojrzałego etycznie człowieka wyzywać szczęście przy stole gry, wstępuje jednak na tę „niegodną“ drogę, ilekroć przypadek sprowadzi ich nad Riwicrę — z początku tylko na próbę, następnie zaś idą daleko po za dozwolone granice, niekiedy nawet aż do tej posępnej fazy, kiedy strata powala ich na ziemię.

Człowiek, o którym chcę tutaj mówić, był polakiem. Zdawna już przybywał on co rok na późny sezon do Mentony lub San-Remo, a kiedy orzeźwił się dostatecznie czarami krajobrazu i kwitnącą roślinnością — w ostatnich dniach przed powrotem wstępował za każdym razem do znanego powszechnie pałacu „Klubu cudzoziemców.“

Spędziliśmy razem trzy tygodnie. Nadeszła właśnie chwila jego przejażdżki do Monaco. Odprowadzałem go. W drodze zawiązała się rozmowa, którą w możliwie ściśniętych rozmiarach tutaj podaję.

Rozpocząłem ją elegijnie zabarwionym zwrotem.

— Poważnie biorąc rzeczy — rzekłem — wydaje mi się wstrętnem, sumę, na którą uczciwy robotnik, być może, całe miesiące ustawicznie pracować musi, rzucać na stół tak, jak gdyby kawałki złota były tylko blaszanemi markami.

Polak pogłaskał sobie brodę i odpowiedział z uśmiechem:

— Wątpię, czy pańskie skrupuły są uzasadnione. To, co pan potępiasz swoim wyrokiem, w języku ekonomii politycznej nosi miano *ryzyka*. Zachodzi tedy pytanie, czy gdzieindziej nie przyjmujemy z takim samym spokojem owego ryzyka, przenoszącego dziesięćkroć te paręset franków. którym chcesz pan nadać taką wagę.

— Tak pan sądzisz?

— Bezwątpienia. Wprawdzie szanse częstokroć bywają przyjaźniejsze, niż przy rulecie; ale równie często zdarzają się mniej

koby z Ameryki nadsyłane listy, opisujące raj tamtejszych osadników z Galicyi, które prostaczków oczarowywały. Dzięki temu oszustwu agenci wyciągali bezkarnie pełne siecie ryb z mętnej wody. Ustawicznie jednak od zawiedzionych z Ameryki, od porzuconych w drodze lub ich rodzin nadchodziły skargi do namiestnictwa i ministeryum na oszustów. Z tego materyału i innych doniesień wystąpił nareszcie niewątpliwy fakt, że w różnych punktach a zwłaszcza w Oświęcimie uorganizowała się banda opryszków, która w najohydniejszy sposób tumani i wyzyskuje ciemną ludność, kupcząc nikczemnie żywym towarem. Po wytropieniu lisów osaczono ich w jamach i wydobyto. Jaki zaś z dotychczasowego śledztwa roztoczył się obraz zbrodni, widzimy z opowieści p. Grzegorzewskiego w *Kuryerze warszawskim*. Nie potrzeba Afryki i tamtejszego handlu niewolnikami dla wzbudzenia zgrozy — dość przypatrzyć się temu widokowi „cywilizacyi" europejskiej.

Rząd (austryacki) nie może nikomu wzbraniać wyjazdu do Ameryki, z wyjątkiem osób małoletnich i popisowych; strzeże jedynie, ażeby wychodźcy posiadali wystarczające środki do odległej podróży. Wobec tego udzielił (w r. 1887) koncesye dwu firmom przewozowym: W. Zwilling, później Zeitlingerowi w Białej i Klausnerowi w Brodach. Ci przedsiębiorcy puścili sforę agentów, których sposoby działania ocenić można z następujących szczegółów:

Zwykle wydawano chłopom t. z. kartę prowizoryczną za opłatą 10 złr., lub pewnej sumy procentowej od kosztów za przejazd całkowity do Ameryki. Po odstawieniu go do Oświęcima lub portu morskiego i otrzymaniu dopłaty, zmieniano tę kartę na zupełną, jeśli agent pobrawszy zaliczkę, nie zniknął, wtedy bowiem należało skradzioną przez niego dać ponownie. Dla osłonięcia małoletnich i popisowych przed czujnością rządu, nakłaniano ich do zachowywania tajemnicy, którą przytem wyzyskiwano jeszcze inaczej. Tłomaczono namówionemu, że złapany na granicy postradałby pieniądze, powinien je przeto powierzyć swemu obrońcy i przewodnikowi. Wtedy zależało od fizycznej wartości niewolnika, co jest zyskowniejszem dla agenta: czy go odstawić na rynek (do portu), czy też okraść i porzucić.

Niejednokrotnie oszuści uciekali się do środków zuchwałych. Agent np. upolował słowaka i ściągnął do Oświęcimia. Tu chłopu nasunęły się rozmaite podejrzenia, zaczął więc badać, rozmyślać i zwlekać. Gdy namowa nie skutkowała, agent uderza go w twarz i krzyczy:

— Cóż ty węgierska świnio, chcesz nie dotrzymać zobowiązania wobec nas, koncesyonowanych przez rząd! Zaprowadzić go do pana starosty.

Zaprowadzono chłopa do wspaniałej willi i stawiono przed oszustem wyższego stopnia, udającym starostą. Ten zwymyślawszy biedaka, kazał mu zapłacić 81 złr., co ten natychmiast uczynił.

Skutkiem współzawodnictwa firm chłop przywieziony do Oświęcimia był nieraz przedmiotem zażartej ich walki. Staczano o niego bitwy, szarpano, wydzierano sobie, dopóki nie przeszedł w posiadanie pięści silniejszej. Zwyciężeni przez zemstę oskarżali tajemnie zwycięzców przed władzami pruskiemi, które uwiadomione o czasie przejazdu emigranta zatrzymywały go i odsyłały nazad; wtedy denuncyanci porywali go w swe szpony i wysyłali inną drogą, ale naturalnie za nową opłatą.

Dla zwabienia ochotników do tego połowu, agencye wyznaczały nagrody (od 1—3 złr.) każdemu, mężczyźnie czy kobiecie, kto z dworca kolei w Oświęcimie dostawi emigranta do tymczasowego bezpiecznego schronienia. Cała ludność chwyciła się tego zarobku. Czatowano na gościńcach, przedmieściach, stacyach, młodzi i starzy, dzieci i kobiety, wyrywano sobie upolowanych i pędzono do baraków.

Wobec uzbrojonych w kapitały i wpływy rabusiów nawet władze były bezsilne. Kiedy w kwietniu r. b. żandarmi zatrzymali 60 sztuk ludzkiej zwierzyny i odstawili wójtowi, ten ich wypuścił, agent wywiózł do Ameryki a żandarmów oskarżono o gwałt.

Niedaleko kolei zbudowano kilka szop drewnianych z pryczami do spania, przypominających żłoby dla bydła transportowanego z Galicyi za granicę. Baraki te były bardzo pilnie strzeżone; na wypadek zaś przybycia władz, emigrantów uprzedzono, ażeby się ukryli. Często nawet przywożono ich schowanych w słomie.

Jeśli który posiadał znaczniejsze zasoby, oto, jak go oporządzano.

— Kumie — pyta agent — czy właściwie dobrych gruntów potrzebowalibyście w Ameryce?

— A ino.

— A jakich?

— Kilkanaście morgów pszenicznego, parę może lasu...

— No i stawek może?

— A juści.

— Nie wiem, czy takie grunta są; zapytamy przez telegraf.

Prowadzono chłopa do izby w biurze, gdzie stał budzik zegarowy, nakręcano go na pół godziny.

— Jak będzie stukało z Ameryki, dajcie mi znać, bo ja czasu nie mam.

Ajent odszedł do drugiego pokoju i czekał cierpliwie.

Za pół godziny budzik zaczął dzwonić.

— Panie agent — woła chłop radośnie— coś tam z Ameryki krzyczą.

Przychodzi agent, słucha, słucha, potem pisze, nareszcie czyta głośno:

„Są dwa odpowiednie gospodarstwa w Ohio: jedno na 50 mórg ze stawkiem, drugie na 80 z dwiema sadzawkami. Mórg jednego i drugiego po 10 dolarów. Dziś właśnie zgłaszają się kupujący. Jeśli wasz klijent koniecznie żąda, to mogę dla was tę dogodność zrobić i zatrzymam dla niego jedno gospodarstwo, ale musi na wasze ręce zostawić zadatek w wysokości połowy (lub trzeciej części) ceny kupna i śpieszyć z przyjazdem."

Następował targ, po którym agent wziął pieniądze, chłop zaś — świstek papieru, za który uniżenie pokłonem do kolan dobroczyńcy swojemu dziękował.

Na nudy w baraku umiano radzić skutecznie: niby w tajemnicy przed pryncypałem przynoszono chłopom wódki. Spici legli spać a budzili się — z wszystkiego okradzeni.

Nareszcie władze austryackie, cierpliwe tam, gdzie chodzi o krzywdę milionów, a nie o obrazę jednego haftowanego kołnierza, postanowiły wybrać wszystkich drapieżców z legowiska. D. 24 lipca zro-

---

przyjazne, bo, jak już powiedziałem, ryzyko istnieje we wszystkich sprawach ludzkich, nawet tam, gdzie dzięki przyzwyczajeniu nie jesteśmy jego świadomi. Jeżeli np. corocznie wyruszam z Wiednia tutaj, nad morze Śródziemne, to przecież stawiam na kartę — przyznasz pan — swoje zdrowie, a nawet życie, gwoli drobnej wygranej: oczekiwanego wytchnienia i rozrywki. Pociąg, który mnie wiezie, może się wykoleić: na tylu a tylu podróżnych, jak dowodzi statystyka, przypada jeden nieszczęśliwy wypadek. Wprawdzie tutaj dobra szansa do złej nie ma się w przybliżeniu jak 1 do 1— stosunek, który zachodzi przy stawianiu na *czerwone*, na *passe*, lub na *parzyste*; ani jak 1 do 36 — stosunek, który występuje wówczas, gdy posiada jeden z 37 numerów, ale, być może, jak 500,000 do 1. Różnica wszakże wyrównywa się poniekąd dzięki tej okoliczności, że przy *czerwonem*, lub *passe*, lub *parzystem* wygrywam ściśle stawkę— podczas gdy tutaj *wszystko*, a mianowicie moje życie, narażam dla osiągnięcia stosunkowo nader nieznacznej korzyści. Boć ostatecznie mogę równie dobrze wypocząć, wynająwszy sobie willę na jakiemś przedmieściu Wiednia.

Miałem zrobić minę zdziwioną, ale zanim jeszcze cośkolwiek odrzekłem, on sam przyznał mi, że analogia ta nie jest bezpośrednio przekonywającą.

— Ale — ciągnął dalej — weźmy następujący przykład. Malarz, posiadający majątku jedynie 6,000 marek, zamierza stworzyć większe dzieło, które ma go zatrudnić na długo. Zużywa tedy całkowicie swój mały kapitał nietylko na drogi materyał, lecz i na utrzymanie się podczas pracy. Pomijam tutaj zupełnie idealny pierwiastek tworzenia; mówię jedynie o materyalnej stronie przedsięwzięcia. Malarz ostatni grosz wydał; pełen tęsknoty i nadziei, wygląda kupca. Kupiec nie przybywa. Być może, to dzieło sztuki jest chybionem: nawet największy talent błądzi czasami. Być może, jest to arcydzieło, którego współcześni nie umieją ocenić. Dość, że statua Wolność, czy też stroskana Psyche całe miesiące pozostaje niepostrzeżoną, póki wreszcie nie odnajdzie się człowiek, który korzysta z nędzy zrozpaczonego malarza i nabywa jego obraz na licytacyi za połowę tej sumy, jaką twórca nań wydał podczas pracy. Takie wypadki zdarzają się codzień we wszystkich zawodach. Czyliż ów malarz nie wkładał tych 6,000 marek w swoje przedsięwzięcie z większem niebezpieczeństwem, niż gdyby postawił połowę ich na *czarne* lub *czerwone?* A jednak jeżeliby nawet stracił tak zaryzykowaną połowę zaraz po pierwszym obrocie kuli, to przecie pozostałyby mu: a) druga połowa, którą tak bezcelowo zmarnował, b) czas, c) świeżość sił i usposobienia. Że malarz, popychany przez swój geniusz, nie uląkłby się nawet i mniej pomyślnych szans, że po nad wszystko przełożyłby rozkosz tworzenia, którą czerpie ze swojej pracy, bez względu na kombinacye natury handlowej — nie osłabia to wcale mocy moich dowodów. Zamiast artysty możemy wziąć pierwszy lepszy rodzaj producentów. Malarz nasunął mi się na myśl, gdyż dużo przebywam w kołach artystów.

Z zadziwiającą żywością jął teraz rozbierać najrozmaitsze zawody życia.

— Każde przedsięwzięcie — mówił—jest mniej lub więcej ryzykowną stawką na *czerwone*; każdy kupiec, prowadzący interes na swoją rękę, każdy statek, prujący fale oceanu, każdy dramat, wstępujący na deski sceniczne — wyraża wezwanie do kapryśnej bogini szczęścia. Przypadki, które tutaj należy mieć na uwadze, są jeszcze bardziej zawikłane i bardziej nieobliczone, niżeli zachodzące przy stole gry. Kogóż jednak powstrzymają owe przypadki od otwierania magazynów towarów płóciennych, wysyłania okrętów, naładowanych bawełną, wystawiania sztuk na scenie? Opowiadano mi, że nie ma obecnie w Niemczech spokojniejszego i przyjemniejszego sposobu umieszczenia zbytecznych kapitałów, z korzyścią narodu, jak założenie nowego pisma ilustrowanego. A jednak co roku powtarzają się tego rodzaju próby jedynie po to, ażeby dziewięć razy na dziesięć robiły fiasco. Powiedz pan sam: czyż nie lepiej uczyniliby ci ludzie, gdyby z dwudziestą częścią swoich kapitałów zagrali w *trente et quarante?*

Rzecz dziwna, tego rodzaju wnioski nieodparcie narzucały się umysłowi. A jednak czułem, że takie i tym podobne rozumowania kwestyi nie rozwiązują, że raczej skupia się we mnie jakiś osad i niby drażniący niesmak opada na serce.

biono obławę i ze wspaniałych, zbytkownych zyskiem na niedoli i nieszczęściu tysiąców ludzi wyprowadzono do sądu. Zabrano przytem liczne dowody zbrodni i ogromne kapitały.

Co sąd z tym łupem zrobi? Czy ubezwładni rabusiów, czy im pozwoli prześliznąć się przez szerokie oka swobód „konstytucyjnych?" Zaiste ciekawym będzie wyrok.

ZJAZD PRZYRODNIKÓW I LEKARZÓW.

II.

Z kolei wspomnieć należy o wycieczce do Lubienia, zakładu kąpielowego, położonego o trzy godziny jazdy od Lwowa, o godzinę od stacyi Gródek na kolei Karola Ludwika. Udział w wycieczce wzięło przeszło 400 uczestników; pogoda sprzyjała, przyjęcie przez hr. Branickiego było serdeczne, zabawa szła ochoczo, spacer po parku, ognie sztuczne, gry towarzyskie i tańce — oto cały program. Główną jednak korzyścią było zbadanie przez liczne grono lekarzy zakładu dotychczas mało znanego, a zasługującego na poparcie, gdyż posiada obfite źródła siarczane i należy do lepiej urządzonych miejsc kąpielowych w Galicyi.

Część członków zjazdu wyjechała równocześnie do Dublan, aby obejrzeć szkołę agronomiczną tam istniejącą.

Nazajutrz o godz. 8-ej nastąpiło wspólne zwiedzenie szpitalów lwowskich. Najlepsze wrażenie zrobił szpitalik dziecinny św. Zofii, zbudowany niedawno według projektu dr. Merczyńskiego, a kosztem hr. Sapiehów. O szpitalu powszechnym — budynku już starym, który wskutek tego mniej odpowiada obecnym wymaganiom hygieny — powiedzieć można, że od warszawskich różni się tylko lepszem utrzymaniem chorych, co zaś do urządzeń — to jest nawet od naszych gorszy. Jedną tylko ma przewagę: oto posiada (jak wszystkie zresztą lwowskie) dezynfektor, przyrząd niezbędny w oddziałach chorób zakaźnych, czem Warszawa, niestety, pochwalić się nie może. Dezinfektor tam używany pomysłu p. Rychnowskiego, dobrze służy celowi i jest przytem niedrogi. Słusznie też dostał za niego wynalazca dyplom uznania na obecnej wystawie hygienicznej. Przy zwiedzaniu szpitali lwowskich, a przed kilku dniami krakowskich, uderzyła nas jedna okoliczność: przepełnione one są chorymi na gruźlicę tj. suchoty, a resekcye (wycięcia stawów) wskutek gruźliczego ich zapalenia, są tam nadzwyczaj częste. Wogóle Galicya pod względem panowania gruźlicy przedstawia nader smutny obraz. Gdy wogóle stosunek chorych tej kategoryi wynosi 1 : 7, w Galicyi wyraża się on 1 : 4.

O godzinie 10½ nastąpiło drugie i ostatnie walne zgromadzenie uczestników zjazdu w sali ratuszowej. Przemawiali: prof. Majer, witając radcę sekcyjnego, dr. Kusego, przybyłego od ministeryum dla zwiedzenia wystawy hygienicznej; dr. Blumenstock z Krakowa oznajmił zgromadzonym, że zjazd następny odbędzie się w Krakowie 1891 r. — wydziałowi gospodarczemu przewodniczyć mają dr. Rydygier i Rostafiński i że czynione będą starania, aby zjazd następny odbyć się mógł w którymkolwiek z miast prowincyonalnych, jak to już obecnie urządzają węgrzy.

Następnie dr. Krówczyński miał odczyt „o profilaktycznych zabiegach nowoczesnej medycyny," poruszający najżywotniejsze kwestye i nadzwyczaj starannie opracowany.

Z kolei nastąpiło odczytanie przez d-ra Merunowicza listy nagrodzonych wystawców, których tu powtarzać nie możemy, wzmiankę zaś o niektórych nagrodach uczynimy przy opisie wystawy.

Dr. Grabowski odczytał następujące wnioski, uchwalone jednomyślnie przez pełną sekcyę medycyny publicznej:

Zjazd V lekarzów i przyrodników polskich uznaje za konieczną potrzebę:

I. a) Zaprowadzenie obowiązkowego wykładu hygieny w szkołach średnich, seminaryach duchownych i nauczycielskich.

b) Przedstawienie rządowi, ażeby więzienia i areszta policyjne urządzane były odpowiednio do prawideł hygieny, aby były zaopatrzone w szpitaliki i dezinfektory, oraz aby nie ulegały przepełnieniu.

c) Przedstawienie rządowi, aby przeprowadził ustawę surowo karzącą tych, którzy o chorobach zaraźliwych ludzkich władzy przełożonej nie zawiadamiają.

II. Ponieważ zakłady zdrojowe w Galicyi przynoszą już obecnie 4 miliony złr. dochodu, a Czechy, mające zdrojowisk mniej, ciągną z nich około 32 miliony, należy się spodziewać, że ze zdrojowisk do majątku krajowego wpłynąć by mogło przynajmniej w czwórnasób więcej, niż dotychczas. Dla osiągnięcia tego rezultatu potrzeba tylko, aby zakłady to zapewniały zwiedzającej je publiczności możliwe wygody. W tym celu uchwalono: wydać ustawę zdrojową, ustanowić osobnego inspektora, przedstawić sejmowi wniosek, aby przeznaczył corocznie pewną sumę na pomoc bezzwrotną lub procentową w wypadkach, jeżeli właściciele zdrojowisk nie są w stanie wprowadzić sami tych ulepszeń, które dla rozwoju zakładów i wygody publiczności są konieczne.

III. Zjazd V uprasza wydział gospodarczy o zawezwanie wszystkich towarzystw lekarskich, izby postarały się o ujednostajnienie słownictwa lekarskiego i chemicznego polskiego.

IV. Uchwalono na wniosek d-ra Polaka z Warszawy, założenie towarzystwa hygienicznego, mającego na celu rozpowszechnienie zasad hygieny między ogółem, oraz popieranie instytucyj tego rodzaju.

O godz. 12-ej w południe prezes zjazdu dr. Majer zamknął obrady i wyraził przekonanie, że zjazd miał zupełne powodzenie w każdym kierunku.

Urządzona podczas zjazdu wystawa hygieniczno-lekarska i dydaktyczno przyrodnicza skorzystała pod względem okazów i materyału zeszłorocznej warszawskiej; ponieważ jednak współzawodniczyć mogli wystawcy nietylko wyłącznie polscy, znalazły się przedmioty, które w sumie nadały lwowskiej charakter ogólny. Wystawa podzielona została na następujące grupy:

I. Bakteryologia. Wystawcy: dr. Szpilman ze Lwowa — urządzenie pracowni, okazy bakteryj w hodowlach, fotogramach i rysunkach. Nadzwyczaj ciekawe są wystawione przez niego b. fosforyzujące, wydające blask w ciemności, a znajdowane często na mięsie, głównie wieprzowem i nadające mu własność świecenia. Dr. Bujwid z Warszawy — okazy bakteryj w hodo-

---

Prawie w tej samej chwili, kiedy udało mi się nakoniec znaleźć słowo wyzwolenia, ozwał się polak z nadzwyczaj delikatnym uśmiechem:

— Jednakże masz pan słuszność, pochylając z poszanowaniem głowę przed artystą, kupcem, wykonawcą wspaniałych przedsięwzięć — nawet wówczas, kiedy praca ich chybia celu — a natomiast graczowi zawodowemu odmawiając bezwarunkowo szacunku. A nie idzie mi tutaj o *pilność*, która, już sama przez się, człowieka energicznego stawia wysoko po nad próżniakiem i włóczęgą bez serca i bez mózgu: samo poczucie, że pracą swoją wytwarza *wartość* i tym sposobem przynosi pożytek ludzkości, uszlachetnia pracownika w przeciwieństwie do trutnia, który pragnie ciągnąć korzyści z tego, co odbierze innym, a sam nie wytwarza nic. Ta świadomość jest właściwym buntem przeciwko istnieniu domów gry.

— A jednak grasz pan?

— Czemu nie? Dopóki gra w istocie pozostaje dla mnie tylko grą!.. To, co ryzykuję, w zupełności odpowiada moim środkom. Kwota — pięćset franków — już jest policzoną, jako wydatek, na rachunek kosztów podróży. Bawi mnie przez pewien czas to śledzenie z wciąż rosnącą uwagą kaprysów toczącej się kuli, to zwyciężanie wrogiej przemocy przezornością i kombinacyami. Jeżeli tracę, spotyka mnie tylko to, na co naprzód już byłem przygotowany. Jeżeli wygrywam, tem lepiej dla mojego nadzwyczajnego budżetu. Nadto jeszcze odczuwam niezwykłą rozkosz, że udało mi się podejść chytrością w najwyższym stopniu zagadkową, w pomrokach działającą siłę.

— Czy dotąd jesteś pan przy wygranej? — zapytałem po dłuższej pauzie.

— Tak, wygrałem dwadzieścia tysięcy franków. Znajdują się one w specyalnem zawiadywaniu mojego bankiera. Przeznaczyłem je dla mojego rodzinnego miasta Krakowa, jako stypendyum dla malarzy. Powiadam panu, jest w tem jeszcze jedna dodatkowa rozkosz: tym dzierżawcom gry odebrać coś z ich łupów!

— A jeżeli pan przegrasz znowu owe dwadzieścia tysięcy franków?

— Osiemnaście tysięcy są wybornie zabezpieczone. Tych nie dotknę już więcej. Wogóle zaś nad bankiem gry posiadam znaczną wyższość, pomimo matematycznej szansy, której udziela mu zero.

— Na czem polega owa wyższość?

— Bank — odpowiedział polak — może tracić na mnie do nieskończoności. Przeciwnie moja strata na sezon najwyżej dosięga dwudziestu pięciu napoleonów.

— Monte-Carlo! — wykrzyknęli francuzcy konduktorowie, niemożliwie przekręcając włoską nazwę.

Wysiedliśmy.

Mój „ski" oprowadzał mnie naprzód przez pewien czas po wszystkich salach.

Przeróżne typy, które znajdowały się tutaj, w tej barwnej gmatwaninie, nigdy nie przykuły tak mocno mojej uwagi, jak wówczas, kiedym je oglądał w towarzystwie tego bystrego spostrzegacza.

Następnie począł grać z pewnością i zręcznością, które z podziwieniem większości współgraczy jaskrawy stanowiły kontrast.

Tym razem przegrał.

W niespełna godzinę potem siedzieliśmy na werendzie Café riche.

— Nie do uwierzenia były dzisiaj konstelacye! — rzekł w zamyśleniu.

Następnie, biorąc kartę spisu win, zawołał: „Ale bawiłem się po królewsku! Ta Riwiera jest jedyną w swoim rodzaju! Co za kontrasty! Czyliż morze nie błyszczy z tamtej strony, na piaskach Bordighiery, teraz dwakroć piękniej potem, jakeśmy badali grę przypadku tam, w przepychem świecącem kasyno? Czy każemy sobie podać starego Pomarda — czy też pan pić będziesz Chablis? — wyborne!"

Siedzieliśmy, dopóki zmrok nie zapadł. Nagle w parku dał się słyszeć wystrzał. Spojrzeliśmy po sobie i w milczeniu udaliśmy się na dworzec.

Jak dowiedzieliśmy się później, był to młody kupiec z Liverpoolu, który wciągu południa przegrał sto pięćdziesiąt tysięcy franków...

— Biedaczysko! — powiedział mój polak. Nie każdemu dozwolonem jest iść do Koryntu! Przynajmniej nieletnich nie należy nigdy puszczać inaczej, jak w towarzystwie dorosłych!"

Przeł. *L. B.*

dowlach, preparatach i rysunkach, odczyn chemiczny na bakteryę cholery azyatyckiej, pozwalający bez pomocy mikroskopu postawić dyagnozę, czy dana choroba jest cholerą, tablice graficzne, przedstawiające szereg rozbiorów powietrza i wód Warszawy, wreszcie popularna broszurka p. t. „Pięć odczytów o bakteryach.“ Dr. Lipeż ze Lwowa — okazy hodowlane pasorzyta przezeń odkrytego w chorobie ocznej, jaglicą zwanej (trochoma) i odmiany pewnej metody hodowania bakteryj. Dr. Wehr ze Lwowa—preparaty drobnowidzowe. (Szpilman i Bujwid — medale srebrne, Wehr — bronzowy, a Lipeż — list pochwalny).

II. Hygiena szkół — mniej dobrze przedstawiona niż w Warszawie, okazy prawie też same: ławki szkolne, modele szkół ludowych itp.

III. Hygiena mieszkań: Na uwagę zasługuje przedewszystkiem dziełko wydane z powodu wystawy przez pp. Bisanza, Pawlewskiego, Brauseiza, Goreckiego, Sołtyckiego i Świątkowskiego p. t. „Wady i ulepszenia pomieszkań.“ Praca pożyteczna, zasługuje na rozpowszechnienie; cena przystępna (50 cent.). Z przedmiotów w tym dziale wyróżniają się praktycznie i wzorowo obmyślane kuchnie, klozety, wentylatory itp., pomysłu inżeniera-mechanika p. Rychnowskiego ze Lwowa. Z warszawskich wystawców widzimy tu firmy Makowskiego i Doultona.

IV. Hygiena szpitali. Łóżko z całkowitem urządzeniem, przyrządy do pielęgnowania chorych, wystawione przez Towarz. czerw. krzyża we Lwowie, plan i model przytułku położniczego d-ra Kondratowicza z Warszawy, budowle sanitarne zakładów fabrycznych w Żyrardowie, dezinfektor Rychnowskiego bardzo praktyczny i z tego względu, że z powodu swych niewielkich rozmiarów i ceny przystępnej może być w każdym szpitalu zastosowany, co ma tę ważną zaletę, że przedmioty po chorych na choroby zakaźne mogą być dezinfekcyonowane na miejscu bez przenoszenia i możności rozszerzenia tym sposobem zarazy. Nakoniec tablice graficzne o wartości środków dezinfekcyjnych i broszurka „O dezinfekcyi“ d-rów Nenckiego, Prausa i Flauma z Warszawy. (Rychnowski za dezinfektor dyplom honorowy, zakłady żyrardowskie—medal srebrny, Praus, Flaum, Kondratowicz i Gwiazdowski (z Krakowa) medale bronzowe).

V. Hygiena fabryk.

VI. Apteki — grupa bardzo bogato przedstawiona.

VII. Nauki przyrodnicze. Grupa ta należy do najbogatszych i może najciekawszych na wystawie. Jest to kompletny gabinet zoologiczno - botaniczno - fizyczno -geograficzny. Ważniejsze okazy ssawców, ptaków, gadów, ryb, osłonnic, mięczaków, owadów, wijów, robaków, szkarłupni i jamochłonów mają tu pomieszczenie. Oprócz tego szkielety, preparaty nastrzykane (dr. A. Fricza z Pragi); praca prof. Dybowskiego, objaśniona rysunkami i okazami, wyjaśniająca historyę powstawania i budowy zębów u zwierząt ssących, dalej ładny zbiór gąbek krajowych prof. Wierzejskiego, okazy z ważniejszych roślin, przyrząd prof. Ciesielskiego, wykazujący i obwieszczający wzrost rośliny (wierzchołek rośliny przymocowywa się do łańcuszka połączonego ze wskazówką na tarczy i dzwoneczkiem — przyrost obwieszcza się ruchem wskazówki i uderzeniem dzwonka); tegoż profesora przyrząd wykazujący działanie ciążenia na wzrost roślin i dyfuzyę. Najważniejsze przyrządy fizyczne, pomocnicze do nauki geografii, wzór muzeum dla szkół ludowych, wreszcie 7 tomów *Pamiętnika fizyograficznego* i 6 tomów *Wszechświata*. (Dr. Dybowski i *Pam. fizyograficzny* — dyplom honorowy: Boberski, Ciesielski, Fricz, Jaworowski, Krupa, Kociuba, Kahau, Petelenz, Rostafiński, Rychowski, Śliwiński, Tyniecki, Wierzejski — medale srebrne; Branicki, Znatowicz (z Dublan) i Weigl — bronzowe, wreszcie Ulanowski — list pochwalny).

VIII. Pokarmy i napoje — dział bogaty, lista nagrodzonych bardzo długa, ograniczymy się więc tutaj na wymienieniu nagrodzonych warszawskich wystawców. Medale srebrne: Heilpern Maksymilian za dydaktyczne okazy zboża i jego przetworów; Milicer Napoleon, za dydaktyczne przedstawienie składników pszenicy; Heneberg Karol, za mleko przesłane z Warszawy do Lwowa w stanie zupełnej świeżości. Medal bronzowy: Horodyński Bolesław, za proszek mięsny i groszek, oraz list pochwalny Kordonowski „Leliwa“ za preparaty słodowe.

IX. Asanacya miast — klozety, dezinfektory itp.

X. Grupa lekarska. Na szczególne wyróżnienie zasługuje praca prof. Kadyi'ego ze Lwowa „o naczyniach krwionośnych rdzenia pacierzowego ludzkiego“ (owoc dziesięcioletniej gruntownej pracy), rysunki tętna i ruchów serca człowieka w stanie zdrowym i chorym, przyrządy służące do zdejmowania tych rysunków prof. Widmana ze Lwowa; tablice przedstawiające rozłożenie i rozrost duru brzusznego i czerwonki w powiecie rzeszowskim za ostatnie dziesięciolecie, oraz tablice, przedstawiające stopień oświaty i zamożności w tymże powiecie. Wykazy bardzo smutne: ilość chat dymnych o wiele przerasta liczbę chat z kominami, a bardzo wiele jest chałup, gdzie ludzie mieszkają wraz z bydłem. Dziwnem, a jednak prawdziwem jest spostrzeżenie d-ra Obtułowicza z Buczacza, że dobrobyt niewiele wpływa na umniejszenie epidemii. Na tablicach przez niego przedstawionych widzimy, że tyfus szerzy się z jednaką srogością w miejscowościach bogatych i biednych. W dziale tym spotykamy jeszcze wydawnictwo *Gazety lekarskiej* z (Warszawy), dalej zbiory fotografij typów rasowych, oraz 44 typowe czaszki ludzkie dr. Kopernickiego, wody ze zdrojowisk krajowych, wreszcie kumys, kefir i szczepienia ospy ochronnej. Nagrody w tym dziale były bardzo liczne; wymienimy niektóre: dr. Kadyi, za wspomnianą pracę — dyplom honorowy: Widman, Barzycki, Danielewicz z Warszawy (za statystykę), wydawnictwo *Gazety lekarskiej*, zakłady w Iwoniczu i Rymanowie — medale srebrne.

XI. Weterynarya — bardzo bogata. Ciekawe preparaty anatomiczne narządów w stanie zdrowym oraz patologicznym, pasorzyty i produkty zwierzęce, przetwory chemiczne z odpadków zwierzęcych itp. I tutaj zasługa wielka należy się p. Kadyi'emu za preparaty anatomiczne, za co też dostał dyplom uznania. Oprócz tego ważne są okazy dr. Seifmana, Barańskiego, Szpilmana, Królińskiego itp.

XII. Kąpiele i łaźnie. Mnóstwo praktycznych urządzeń p. Rychowskiego, zastępujących w zupełności wyroby zagraniczne, dotychczas używane.

XIII. Gimnastyka. Przybory i przyrządy gimnastyczne lwowskiego gimnastycznego towarzystwa „Sokół.“

XIV. Chirurgia. Stoły operacyjne, narzędzia, opatrunki i środki dezynfekcyjne. Wartość tych ostatnich przedstawił dr. Wehr. Wrzucał on mianowicie kawałki drenów, waty opatrunkowej, muślinu itp. do próbek, tj. naczyniek szklanych z żelatyną odżywczą i jeżeli dany materyał opatrunkowy był dobrze sterylizowany lub dezinfekcyonowany, żelatyna pozostawała czystą: żadne bakterye się nie rozwijały, przeciwnie, gdy do dezinfekcyi użyto zbyt słabych roztworów sublimatu, karbolu lub świeżo wprowadzonego kreolinu, żelatyna zanieczyszczała się koloniami bakteryj — dowód złej dezinfekcyi, powodującej rozwijanie się takichże bakteryj na ranie, którą opatrywać będziemy. Wniosek: należy dobrze dezinfekować środki opatrunkowe, używając roztworów sublimatu i karbolu niezbyt słabych, a co do kreolinu powstrzymać się z użyciem aż do należytego wypróbowania.

Ogólne wrażenie z wystawy przedstawia się bardzo bogato i prawie wyczerpująco, w znacznej części działy są zapełnione wyrobami własnymi, co jest bardzo pocieszającym objawem. Nakoniec musimy przyznać, że urządzoną była nadzwyczaj gustownie i starannie.

Zasługa w tym względzie należy się prawie wyłącznie dr. Merunowiczowi, który, jak u nas w roku zeszłym dr. Polak, dopóty zabiegał, starał się i trudził, dopóki wysiłki jego nie zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem. Należy mu się za to cześć i uznanie.

LISTY PETERSBURSKIE.

27 lipca.

Latem „inteligentny“ Petersburg napół zamiera. Jedni jadą za rozmaite granice, inni na wieś, jeszcze inni dużem kołem opasują miasto. W którąkolwiek stronę wyruszysz ze stolicy, nie ujrzysz pola, aż przedrzesz się przez cały szereg letnich mieszkań. W wielu miejscach „dacze“ (wille) tworzą całe miasteczka, różniące się tem od swej macierzy, że ich domki mają po kilka lub kilkanaście drzew i krzewów, a gdzieś w pobliżu rozkłada się las lub park. Owe parki — jak np. Carskosielski, połączony z Pawłowskim, lub Peterhofski z przyległymi ogrodami Aleksandryi i willi Wielkich Książąt — zajmują przestrzenie wielu wiorst.

Jeżeliby ktoś zapytał: o ile latem zmniejsza się liczba mieszkańców stolicy, odpowiedziałbym: wcale nie, a rozumowałbym tak:

Przedstawmy sobie zwykły geometryczny stożek i wyobraźmy, że jedną choćby trzecią część jego wysokości z góry odjęto, a jedną szóstą część w dole dodano; natenczas chociaż wysokość nowego stożka zmniejszy się o $1/_6$, objętość będzie większą. Tak się dzieje i z ludnością stolicy: z góry odpływa, ale u dołu przybywa masa robotników ze wszystkich stron Cesarstwa: murarze, kopacze itd. Wszystkie ulice są skopane, każdy dom bryzga na przechodnia wapnem lub farbą — strzeż się i strzeż.

Bezwątpienia, Petersburg, jako miasto portowe a zarazem stołeczne tak różnorodnego i obszernego państwa, jest jednem z najbardziej kosmopolitycznych w całej Europie; nieraz wśród tłumu przechodniów daje się słyszeć obok ruskiego język niemiecki, fiński, polski, tatarski, szwedzki, litewski, francuzki itp. Przytem można zauważyć, że lud mniej okrzesany nie miesza się do zatargów pochodzenia, że ta nowożytna choroba jest wytworem umysłów światlejszych (!). Wśród robotników mieszkańcy gubernij zachodnich — Witebska, Mińska, Kowna — słyną jako wzorowi kopacze; przedsiębiorcy, co się znają na pracownikach, chętnie ich poszukują, a płacą zwykle o czwartą część drożej, niż „ziemlekopom“ innych stron. Za to gubernie środkowe dostarczają całych tłumów doskonałych cieśli, murarzów itd.

Zgromadzona u jednej budowli, ludność, choć się nawet trzyma kupami, lecz potrosze zapoznaje się, przyjaźni. Nieraz słychać żartobliwe przycinki mieszkańców jednej gubernii względem drugiej, lecz nigdy niedochodzące do brutalstwa lub gniewu—są to raczej próby, kto dowcipniejszy. Przybysze z gub. zachodnich noszą wśród innych robotników nazwę „polaczków.“ Niedawno słyszałem, jak owi „polaczki,“ pracując razem z twerczanami, żartowali, że ci ostatni zapewne w domu żywią się nie chlebem, lecz kisielem, ponieważ karki mają zupełnie

giętkie i nie oni wywijają łopatami, lecz łopaty obracają nimi. Natenczas jeden z twerczanów przystanął i najpoważniej pyta:

— A powiedzcie mi, proszę, jakim to sposobem swoją Warszawę *na mleku przepiliście?* (na mołokie prochlebali).

Po takiem *dictum acerbum* polaczek stropił się, a twerczanie wybuchnęli śmiechem — nie długo tryumfowali: suchy jak skielet białorus, którego — podobno za zwinność i sprężystość — nazywano „Żyłą,“ odrzuciwszy o parę sążni ogromną bryłę ziemi, o ile się na łopacie mieściło — a mieści się u dobrego robotnika do trzech, czterech pudów — otarł rękawem spocone czoło i flegmatycznie rzekł:

— Wasze szczęście, że Moskwa większa od Warszawy, ale jeżeli tak będziecie pić, jak w przeszłym tygodniu, do końca lata wam nie wystarczy...

Widoczna, że ten koncept nie był jeszcze używany, bo wszyscy razem — i polaczki twerczanie — rozśmieli się.

— Aj Żyła!.. Mołodec!.. powie też!..

Ta rozmowa doskonale charakteryzuje, jak lud „nieinteligentny“ dobrodusznie sobie przycina; sama zdrobniala nazwa „polaczek“ utworzona została bodaj dlatego, by oznaczyć, że nic ona wspólnego nie ma z owym imieniem — „polak,“ które w ustach zruszczonych niemców i renegatów brzmi złośliwie, pogardliwie...

Spójrzmy teraz, jak się latem bawią ci, co mają za co, a obowiązani mieszkać w mieście, lub przynajmniej na najbliższej willi.

„Ogródki“ takie, jak w Warszawie, w samym Petersburgu prawie nie istnieją; są dwa, trzy, lecz człowiek trzeźwy niechętnie do nich zagląda, a żony i córek za zbawienie duszy nie zaprowadzi. Wyjątkiem jest „Akwaryum,“ w którem chociaż ryb na prawdę tyle, że wszystkie możnaby w jednej torbie zmieścić, za to muzyka bardzo piękna. Lubiący ją spędzają tu nader przyjemnie kilka godzin. Publiczność w tym ogrodzie nie nazbyt liczna, lecz do takiego stopnia poważna, że najtchórzliwsze dziewczątko może samo bywać.

Ogród zoologiczny zgromadza codzień po kilka tysięcy osób, a w dnie świąteczne bywa do 20 tysięcy; bo też za dwuzłotkę, a w święta za 20 kop. tak uraczy i oko i ucho, że co najmniej na parę tygodni wrażeń wystarczy. Naprzód wielka ilość pięknych okazów zwierząt i ptaków, powtóre na ogrodowej scenie akrobaci i gimnastycy, potrzecie — jakaś czarodziejska pantomina, poczwarte — niezły chór niemieckich trębaczów... Zresztą, kto idzie do ogrodu z rodziną, zaraz po dziesiątej wieczorem zmyka, ponieważ o tej porze, dla uzupełnienia okazów zoologicznych, zaczynają zjawiać się — motyle.

Z tego, com powiedział o dwu ogrodach, łatwo zauważyć, że „Akwaryum“ służy dla ludzi cichych, marzących, lubiących muzykę i zakochanych; zoologiczny zaś napełnia się rzeczywiście obywatelami, zaczynając od najwyższej warstwy społecznego stożka, do najniższej, a po dziesiątej wieczorem — motylami. Pytanie, cóż robią owi, co lubią „szyk,“ bo przecie nie sama tylko Warszawa ma ludzi lubiących operetki, szansonetki i... motyle. Otóż Newa, wpadając do morza kilku łożyskami, tworzy niemało uroczych wysp, a na nich są publiczne ogródki: „Arkadya,“ „Kiń-grus't'“ (Rzuć-tęsknotę, była Liwadya) i „Krestowskij;“ ten ostatni nie ma specyalnej nazwy, a mianuje się od wyspy, na której leży.

W każdym z owych przybytków istnieje teatrzyk; tam też zbiera się złota młodzież i srebrno-włosi starcy, tam też bywają operety i balety. Obecnie Arkadya jest najszczęśliwszą: naprzód dlatego, że ma niezły zasób francuzkich aktorów, powtóre, że sąsiadom coś się nie wiedzie: na Krestowskim teatr zupełnie się nie otwierał, a z byłej Liwadyi artyści pierzchają.

Dla ludzi, nie zbyt liczących się z groszem, a poważniejszych, istnieje w rozmaitych okolicach miasta, wśród bardziej zgęszczonych „dacz“ kilka teatrów. Zwykle Pawłowski (miasteczko Pawłowsk) przewodniczył; w tym roku zaś najpoważniej wziął się do rzeczy ogród „Ozierki.“ Jest to ustronie bardzo poetyczne.

O półtory mili od miasta ku północy leżą — jedno za drugiem — trzy jeziora; zachodnie ich brzegi płaskie, wschodnie — strome; jedne i drugie porośnięte sosnami.

Cała ta miejscowość na przestrzeni kilku wiorst zabudowana letnimi domkami, a prawie w środowisku — między pierwszem a drugiem jeziorem — leży obszerny ogród „Ozierki.“ Muzyka tu niewykwintna, lichsza niż w Akwaryum i w Pawłowsku, ale na jeziorze są łodzie, a w teatrze prawdziwi artyści, którzy grają rzeczy poważne, a grają dobrze. Przejazd z miasta po finlandzkiej kolei dogodny i tani.

Na początku wspomniałem pobieżnie o ogrodzie Peterhofskim, zajrzyjmy doń.

Peterhof — jest to pałac cesarski, leżący nad brzegiem morza o godzinę parowej żeglugi z miasta, wzniesiony za czasów Katarzyny II i nazwany na cześć Piotra Wielkiego jego imieniem. O pałacu niewiele można powiedzieć, bezwątpienia jest ładny; ale duży park, biegnący po pochyłości brzegu morskiego — zachwycający. Sama natura uposażyła go bogato, a ręka ludzka upiększyła do tyla, że na całej kuli ziemskiej trudno o coś podobnego; hydraulika, rzeźbiarstwo i architektura złożyły się na owo piękno. Pierwsza z nich sprowadziła z gór leżących o kilka wiorst wodę i wytworzyła grupy obfitych fontan; druga — ozdobiła wodotryski całą plejadą mitologicznych bogów; trzecia — zbudowała olbrzymie schody, ówdzie pochyłą płaszczyznę, po których suną się niby szklanne szyby wód... dalej, dla najad i innych bogiń wzniosła kioski, świątynie, gdzie także tryska woda i między kolumnami i pod sklepieniem i na kopułach... Wszystko razem wzięte sprawia wrażenie (osobliwie podczas iluminacyj) czarodziejskiego ogrodu z powieści Szeherezady. Grupa, pod nazwą „Samson,“ zawiera co najmniej setkę fontan i około półsetki złotych postaci bóstw. Środowisko owego zgromadzenia stanowi wspaniała, a olbrzymia postać Samsona, rozdzierającego lwu paszczę. Gardziel lwa wyrzuca w górę o stóp czterdzieści taką masę wody, że bez przesady ilości tej starczyłoby na potrzeby całej Warszawy. Codzień od 7 do 10 wieczorem rozlegają się po ogrodzie dźwięki wojskowej kapeli, a dwa razy na tydzień muzyka pałacowa; o wieczornej też porze zbiera się największa ilość publiczności z miasta i z przyległych willi Peterhofu i Oranienbaumu.

Niechże na tem list mój skończę. O bytności w Petersburgu cesarza niemieckiego, o powitaniu go itp. wiecie najdokładniej z gazet codziennych; zaznaczę jeno, że kiedy Wilhelm II jechał po ulicach miasta, a także kiedy na parostatku czynił wycieczkę po odnogach Newy, w rozlegających się okrzykach powitania można było dosłyszeć dwa słowa: hoch! i hurra! — pierwsze brzmiało dobitnie i uroczyście, drugie zaś spokojniej i poważniej.

N. B.

BADANIA NAUKOWE.

ROZWÓJ RODZINY.

II.

W poprzedniem rozumowaniu dowiedliśmy, że podstawą społecznego porządku jest uregulowanie wytwarzania dóbr naturalnych, oraz odpowiednio do warunków bytu postępująca reprodukcya ludzi. Uskutecznia się obie sprawy za pośrednictwem wiadomych form własności i rodziny, oraz przechodnich i podległych rozwojów. Nadto na ukształtowanie rodziny wpływa jeszcze jedna okoliczność — winna ona dostarczać każdorazowo należytego odpływu dla energii płciowej społeczeństwa. „Zdrowy rozsądek,“ który w sferze filozofii odznacza się zwłaszcza tem, iż w zbiorze wrażeń, otrzymywanych od nieznanego zewnętrznego podścieliska, widzi nie oddziaływanie czegoś niepoznawalnego, lecz „materyę,“ w socyologii, po za „rodziną,“ tj. osobną formą rodziny nie umiał dojrzeć istotnej podwaliny społecznej — reprodukcyi gatunku.

A teraz przyjrzyjmy się nieco tegoczesnej rodzinie, a mówiąc o niej, przedewszystkiem mieć będziemy przed oczami społeczeństwa przodujące cywilizacyi „aryjskiej.“ Należałoby zacząć od określenia treści tej instytucyi. Nie jest to wszakże łatwem, nie mamy bowiem przed sobą jakiejś jednolicie ukształtowanej formy. Pomiędzy „monogamią“ chłopa francuzkiego, zwłaszcza śród istniejących tu i owdzie tak ukochanych ultramontanom „familles - souches,“ z władzą nieograniczoną patryarchy-mężczyzny, z zahukaniem kobiet, a „monogamią“ fabrycznych okręgów Anglii, odmalowaną przez Lujo Brentana, gdzie kobieta pracuje po za domem na utrzymanie rodziny, a pan mąż pierze, gotuje i niańczy, istnieje wielka różnica. W tem wyliczeniu należałoby uwzględnić skutki, wynikające z istnienia prawodawstw, niechcących słyszeć o rozwodzie i przykuwających parę ludzi obrożą dozgonną, a innych — wprowadzających coraz większą łatwość w zerwaniu starego i zawarcia nowego związku. Stąd już tylko krok jeden do formy, popieranej przez radę municypalną Paryża. Instytucya ta skłania się do uważania pożycia małżeńskiego za rzecz zgoła prywatną i wymaga jedynie urzędowego uznania przez rodziców dziecka. Nie dba ona o trwałość związku, lecz napiera na wypełnianie obowiązków rodzicielskich. Monogamia w tym razie rozprzęga się w formę, znaną u Morgana pod nazwą parzystej. Następnie nie należy zapominać, iż prawodawstwa występują coraz energiczniej w obronie dzieci „nieprawych“ przez możność poszukiwania ojcowstwa. Nareszcie wypadałoby dodać zawiłe formy polyandryczno-polygamiczne pokątne, lecz urzędowo znoszone, wobec warunków zarobkowania stające się coraz niezbędniejszemi. I oto przed nami wynurza się cała gama odcieni małżeńsko-rodnych. Jedne, jak playowski ideał rodziny chłopskiej, są dogorywającym przekazem przeszłości; inne utworem zupełnie świeżym. Słowem, „rodzina“ obecna nietylko nie przedstawia czegoś zakrzepłego i zastygłego, lecz tętni życiem rozwojowem. Zbyteczna udowadniać, iż taka rozmaitość przedewszystkiem pochodzi od jednoczesnesnego istnienia obok siebie kilku systemów produkcyi i niejednakowego rozmieszczenia własności w społeczeństwie. Rodzina chłopska odpowiada najzupełniej warunkom ekonomicznym gospodarstwa włościańskiego — jest to organizacya w celu wytwarzania produktów, stanowiących własność ojca-patryarchy; fabryczno-robotnicza, złożona z osób bez własności, utrzymujących się z najmu, jest obcą względom poprzednim i opiera się głównie na uczuciu; wśród warstw bogatych ma na celu zwiększenie i przechowywanie majątku. Zadania są różne, różnym i charakter stosunku rodziców do dzieci, małżonków pomiędzy sobą itd. Cokolwiekbądź jednak, należy przyznać, że taka „rodzina,“ oparta na przyznanem ojcowstwie, najlepiej wywiązuje się w obecnej chwili ze swej powinności — reprodukcyi gatunku. Gdy na 1,000 niemowląt zmarłych we Francyi przy porodzie, przypada wśród legalnych tylko 32, wśród nielegalnych cyfra podnosi się do 64. Podo-

bnież na 1,000 ciąży „legalnych“ bywa zaledwie 68, na 1,000 nielegalnych — 92 poronień *). Jeśli wyrzucimy z pod rozpatrywania fakt, iż dzieci nieprawe dostarczają olbrzymiego kontyngensu epileptyków, zbrodniarzy z urodzenia, alkoholików, histeryków, co może stanowić dziedzictwo po matce (oddanie się mężczyznie bez rękojmi dowodzi braku przewidywania i w ciągu dalszym stanu żywiołowo-uczuciowego, niejako epilepto-idealnego), pozostają jeszcze inne, wynikające z braku opieki: charłactwo fizyczne, tępość umysłowa, uwstecznienie uczuciowe. Zresztą wady te tkwią w wolnych związkach o tyle, o ile one pozbawiają nieprawą dziatwę opieki rodzicielskiej. W Bawaryi, gdzie wolno poszukiwać ojcowstwa, śmiertelność w 1,000 odpowiednich i nieprawych dzieci wynosi 317 i 355; we Francyi, nieuznającej tego, stosunek przedstawia się już jak 206 i 390 **). Wobec tego wszelkie związki, pozbawiające potomstwo opieki, społeczność winna piętnować jako akt dzieciobójstwa i przeciwdziałać skutkom tego przez uprawnienie poszukiwania rodziców. Niemniej znaczne widoki otwiera rodzina dla życia małżonków; chociaż w wykazaniu tego uwzględnimy jedynie mężczyzn. W Brukselli znaleziono, iż na 1,000 mężczyzn w wieku lat 24—30 wśród kawalerów śmiertelność na suchoty dosięga 124, wśród żonatych 84.5, co widzimy i w innych chorobach. W wypadku samobójstw cyfry te w Bawaryi przedstawiają się odpowiednio, jak 115 i 98; w kryminalistyce jako 403 i — stosownie do dzietności lub bezdzietności — 186 lub 227 ***).

Zresztą te dodatnie objawy pożycia rodzinnego znajdują się w zawisłości od charakteru monogamii. Nie wszystkie odcienia wywiązują się jednako z obowiązków. Wśród warstw najmickich warunki ekonomiczne wprost prowadzą do zwyrodnienia potomstwa. Rodzice muszą już młodą dziatwę oddawać do roboty i praca dziecięca przybrała takie rozmiary i wykazała takie następstwa, iż państwo, zagrożone w sprawie reprodukcyi zdrowych sił rekruckich, musiało pospieszyć z odpowiednim prawodawstwem. Nadto, wskutek całodniowego przebywania rodziców po za domem, drobne dzieci są bez opieki. A tymczasem wzrost tych zjawisk leży w tendencyach ekonomicznych czasu. Jednocześnie rodzina wśród warstw wyższych coraz bardziej musi posługiwać się prostytucyą. Jest ona tu sprawą pieniężną, interesem, a nim zostanie zawartą, sporo czasu upływa i energia plciowa szuka gdzieindziej wyladowania.

Zatrzymaliśmy się nieco nad różnemi stronami istniejącej rodziny, zgoła nie starając się dokonać tego w sposób systematyczny i szczegółowy. Chcieliśmy wykazać jedynie, iż o kategoryi określonej ze stałemi zjawiskami nie może być mowy i że charakter każdorazowy zawisł od srodowiska ekonomicznego. Tem bardziej zaś nie mieliśmy zamiaru pisania hymnów ku większej chwale zalet, a potępienia wad istniejącej rodziny. Umysł syntetyczno-utopijny, pokroju filisterskiego, znalazłby tu zaraz „zadanie“ do rozwiązania. Wyszperałby wszystkie zalety i pożytki „rodziny,“ oczywiście z subjektywnem zabarwieniem — jeden podniósłby pożytek żony jako kucharki, drugi jako posłusznej powiernicy — lecz zawsze w zakresie istniejącego. Z podobną starannością zebrałby i wszystkie strony ujemne. Z tych pierwiastków, drogą konstrukcyi materyalnej, zlepiłby „rzeczywistą,“ „moralną,“ „idealną“ rodzinę, pełną zalet a wolną od wad i wystąpiłby z propagandą wartości swego duchowego dziecięcia. Utopista szerokiego polotu spojrzałby inaczej. Uwzględniłby fakty podniesione przez Espinasa, Letourneau i in., że w świecie zwierzęcym wszędzie można zauważyć antagonizm pomiędzy rodziną a społecznością. Wykazałby, że zwierzęta, żyjące na podstawie związków wolnych, są wielce towarzyskiemi; tymczasem drapieżce, które wytworzyły szczupłe pary monogamiczne, nie znają uczuć szerszych; że ptaki gromadzkie w chwili parzenia się wyodosobniają drobne pary — społeczeństwo rozpływa się w rodzinie. Podobne zjawisko wyśledziłby i wśród ludzkości, jak czyni profesor paryskiej szkoły medycznej, de Lanessan *), i obwieściłby, iż „antagonizm pomiędzy rodziną a społeczeństwem wśród ludzkości utrwala nędzę, ciemnotę i niewolnictwo.“ Dla zaradzenia złemu zapisałby receptę (trzymamy się Lanessana): znieść własność rodzinną i umożliwić siłom i inteligencyom grupowanie się dowolne. Lecz tegoczesna socyologia rozstała się z praktykami marzycielskiemi. Kreślenie z głowy ideałów możliwie „sprawiedliwego“ pożycia i wogóle zapisywanie leków chrzci zasłużonem mianem: budowania zamków na lodzie, lub, jak szyderczo odzywa się Marx, pietraszenia na kuchni przyszłości. Utopista lepi syntezy, lecz niestety samorozwój społeczny nie pyta się go o posiadane sympatye lub antypatye. Gdyby takiego marzyciela przesadzono w czasy pańszczyzniane, ulepiłby „sprawiedliwy a mądry“ ustrój, w którym zatrzymałby zalety feodalizmu i opieki patrymonialnej i usunąłby krzywdy i ohydy. Tymczasem w procesie rozwojowym powstało coś odmiennego — system najmicko-kapitalistyczny. Pamiętając o tem, zamiast nudzenia czytelników rozpisywaniem się o własnych stanach subjektywnych, zwrócimy się do faktów, drgających dokoła nas rzeczywistością, dla odpowiedzi, w jakim kierunku dąży rodzina. Z przeszłości i krótkiego rysu teraźniejszości nabraliśmy przeświadczenia, iż rozwija się ona zależnie od metod produkcyi dóbr materyalnych. Analizując inne fakty, sprobujemy uchwycić tendencye we względzie rodziny na przyszłość. Zanim jednak do tego przystąpimy, musimy zauważyć jedno. Warstwa najmicka zwiększa się na koszt innych, co jest wynikiem biegu rozwoju ekonomicznego. Z tego powodu właściwe jej stosunki rodzinne są niejako prawidłem przyszłości, chociaż, jakeśmy już nadmieniali, najgorzej spełniają funkcyę reprodukcyi gatunku. Stąd wynika wniosek, że winny ukazać się jakieś instytucye po za rodziną, uzupełniające niespełnianą powinność. Po tej uwadze wracamy do przerwanego wątku.

*) Bordier, *La vie des societés*, str. 306.

**) Bordier, tamże, str. 308.

***) Bordier, tamże, str. 304, 305.

*) W dziełku: *La lutte pour l'existence et l'association pour la lutte.*

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Czesław Pieniążek, *Michał Bałucki*, szkic literacki. Poznań, 1888.

Dr. August Sokołowski, *O nowych poglądach na historyę polską*. Kraków, 1888, str. 57.

Wrodzony popęd samozachowawczy snadno podszepnie biedakowi, kurczowo ściskającemu w wychudłej dłoni wytarty trzygroszniak, że lepiej kupić kawałek czarnego i gliniastego razowca, niż ogórek lub garść zielonego, twardego niby kamień agrestu. Te wiktuały bowiem mogą służyć jedynie za zbytkowny przysmak lub okrasę, dostępną dla nieco zamożniejszych jednostek, które za uderzeniem w kieszeń usłyszą brzęk kilku przynajmniej dziesiątek. Zdaje się, że podobnie musi postępować ubogie, słabe i bezwiedne społeczeństwo. Obraca ono bowiem ostatek swych sił i żywotnych a zbawczych soków wyłącznie na przedłużenie lub wzmocnienie bytu. To też wszelkie takie życie społeczne, wszelki ruch na jakiemkolwiek polu przyodziany bywa w twardą, lecz ochronną kolczugę utylitaryzmu. Wszystko, co się tam pojawia, bezwiednie ziarnko do ziarnka znosi, to znowu z samowiedzą i jasno wytkniętym celem cegiełki na fundament społecznego gmachu gromadzi. Nie może uchylić się z pod jarzma tego i sztuka, potężny czynnik duchowego życia każdego narodu. W chwilach wysiłku i bolesnego szamotania się o pogodniejsze jutro, przybiera na się postać trębacza, który hałaśliwym odgłosem surmy zagrzewa towarzyszów do boju, pod jakąkolwiek tenże przejawiałby się postacią. Wtedy to malarstwo przeważnie staje się historycznem. Przypominaniem przeszłości schlebia ogółowi i rozżarza jego zapał. W literaturze pięknej zaś brzęczy nakształt ós lub pszczół — zależy to od wartości — gęsty rój tendencyj przenajrozmaitszego rodzaju. Najczęściej mają one zadanie—wytępić owe wady społeczne, przekląć te grzechy, które przeszkadzają dalszemu rozwojowi ku lepszemu.

Przenieśmy powyższe twierdzenia z obłocznej dziedziny abstrakcyi na rzeczywisty grunt galicyjskich stosunków, a udowodnimy natychmiast ich prawdziwość.

Powieść galicyjska—przez nią rozumiemy utwory, snute wyłącznie na tle tamtejszem przez pisarzów tam zrodzonych, wychowanych, dojrzałych, a więc ściśle z tą prowincyą zżytych — przesiąkła nawskróś utylitaryzmem, oddycha celowością, miewa krwotoki agitacyjnych, niezgrabnie z całością zszytych epizodów. Najgorliwszym oraczem tej skiby, tak w naszych, jak i w galicyjskich literackich stosunkach najurodzajniejszej, jest Michał Bałucki.

Od pewnego czasu pojawiają się o nim coraz częściej studya, na szerszą zakrojone skalę. Wystąpił tu i to z dość udatnym obrazem Antoni Mazanowski, bajał i plótł, powtarzając się p. Jeske-Choiński (*Ideały belletrystyki pozytywnej*), nie pominął go żaden badacz dziejów lat ostatnich. Dzisiaj wysunął się na harce krytyczne i p. Czesław Pieniążek. Luzak to czy giermek stańczykowskiego obozu, który z serca całego pragnąłby już raz zdobyć rycerskie ostrogi, a potem jednym zamaszystym skokiem znaleźć się w generalnym sztabie kliki. Plwa tedy i obrzuca mieszaniną z błota i cynizmu wszystko, co podług podwawelskich puszczyków „pozytywizmem trąci.“ A „trąci“ nim każda myśl swobodniejsza, krytyka obskurantyzmu, walka z klerykalnemi zachciankami. Wywija przeto bronią zardzewiałą od starości, używa wprawdzie przedpotopowej taktyki, przez karyerowiczów krakowskich ulubionej oddawna, boć pomyślne rodzi owoce. W jednej z pierwszych swych rozpraw literackich p. n. *O pesymizmie w belletrystyce polskiej* oświadczył z bystrością, zaszczyt przynoszącą jego krytycznym zdolnościom i literackiemu wykształceniu, że wszystkie prądy, wstrząsające dzisiaj tą częścią literatury, są po prostu „na urząd“ wymyślonym dyabelskim wynalazkiem takiej Orzeszkowej, Okońskich, Konopnickich, Prusów i innych złych ludzi w celu zaprzepaszczenia wiary i kościoła. Wezwał tedy wszystkich rodowców, z bojaźnią bożą w sercu, aby szli tłumnie na nową krucyatę, czyli tworzyli obrazki spokojne, wesołe, o jasnem i niezamąconem tle. P. Pieniążek nie słyszał więc o tem, że pisarz bywa jedynie dziecięciem swej epoki, wychowańcem otoczenia, artystycznym tłomaczem jego uczuć i pragnień, malarzem jego życia i najwyżej koicielem jego drobnych zadraśnięć, od których on sam szczęśliwym trafem zdołał się uchronić. Wielkie rany, zadawniałe i ślimaczące się i jemu dają się we znaki, zakażają jego krew, odpędzają sen z powiek, swobodną myśl z głowy, wesołą śpiewkę z warg zsiniałych.

Łatwo możemy odgadnąć, jak odbił się Bałucki w podstawionem mu przez p. Pieniążka zwierciadle. Ten pisarz postępowy, surowy karciciel stańczyków, nieubłagany sędzia ich błędów i grzechów, nie znalazł łaski w oczach tego, który pragnąłby uzyskać nominacyę na zastępcę zastępcy głównego krytyka (Tarnowski, Zathey i — p. Pieniążek) kliki, otaczającej zwartym czworobokiem krakowski uniwersytet i tamtejszą Akademię Umiejętności.

I w samej rzeczy, p. Pieniążek odkrył przez swą krytyczną lupę na twórczości Bałuckiego mnóstwo sinych, szpetnych plam, które podług niego świadczą o istnieniu zadawnionych grzechów i nałogów. Oto naprzód przeraża go „włoski libertynizm zaklęty z czasów Garibaldiego.“ Na dźwięk tego szumnego frazesu dreszcz wstrząsa każdym prawowiernym. Autor rozumie pod nim krytykę zwyrodniałego duchowieństwa i instytucyj kościoła, z biegiem czasu przekrzywionych i przekształconych na gorsze przez złą wolę i nadużycia. Oto kilka kwiatków, zerwanych z tej łąki, skrapianej wodą z Lourdes: „I nasz autor ukłonił się modzie (ciskania obelg na kościół), powtarza często komunały knajpowe przeciw duchowieństwu; niekiedy w sposób niesmaczny, nieartystyczny wytwarza karykatury.“ A dalej: „Zawzięcie walczy z bigoteryą. Nieprzyjaciół raczej wytwarza, niż znajduje w życiu; trudno bowiem dopatrzeć się w społeczeństwie naszem takiego zachwaszczenia bigotami, jakie spotykamy w kilku powieściach naszego autora.“ W końcu zaś dodaje: „Nie zaparł się dogmatu, jak to uczyniło wielu, ale zaczepia instytucye, obrządek, przepisy kościelne.“ Objawy te usiłuje on wyjaśnić zgubnym wpływem prądów liberalnych. Marne wysilki, świadczące zarazem, jak niedostatecznie wniknął w ducha autora *Młodych i starych*, jak błędnie pojął istotę jego twórczości.

Bałucki jest od stóp do głowy krakowianinem. Nikt prawie nie zwrócił należytej uwagi, jak dalece zagnieździł się on, zasklepił w tem mieście. Niemal wyłącznie jest malarzem i piewcą tego grodu, który rozsiadł się swobodnie wśród złocistych pól, łąk zielonych i kwitnących ogrodów, a mimo to wiecznie ma oblicze smutne i znudzone, jak gdyby czuł się przygnieciony ogromem Tatr, czerniejących i czuwających nad nim zdala. Otóż to dziecko Krakowa, które nigdy go opuścić nie zdołało i trapione tęsknotą przyleciało doń nazad, choć Warszawa wabiła je lepszem wynagrodzeniem materyalnem, miało aż zanadto wiele sposobności przypatrzenia się oburzającej przewadze księży, ich nadużyciom, ich zuchwalstwu, uciskowi i ciemnocie, które wloką się zawsze w tyle za tryumfami czarnych sutan. Na ulicach i w kościołach podwawelskich setki spotykał bigotów, którzy pomimo różańca w ręku, pobożnie spuszczonych ku ziemi powiek i słodkiego na ustach uśmiechu, bardziej są zgnili pod względem moralnym, niż niejeden z więźniów zamiatających ulicę, niż niejedna ladacznica, z głodu wystawiająca ciało swoje na sprzedaż. Słynna sprawa Barbary Ubryk, najście jezuitów na Kraków i ich powolne, ciche osiedlanie się, później zaś nagłe i zuchwałe podniesienie głowy do góry, gdy zapuścili korzenie, są jeszcze niedawną kartką z dziejów tego miasta. Przesuwały się zresztą przed oczyma twórcy *Żydówki*, *Pańskich dziadów* i *Siostrzenicy ks. proboszcza* aktorskie, poniżające religię szamotania się ks. Goliana, krucyaty z ambon przeciw owoczesnemu *Krajowi* i *Djabłu*, jak i niedawne biskupa Dunajewskiego przeciw liberalnemu dziennikowi w Krakowie za to, że śmiał wyrazić pewne powątpiewanie co do potrzeby rzymskiej pielgrzymki. Czyż to nie może obudzić usprawiedliwionej niechęci przeciw tym ludziom, chowającym się nadto po za tarczę dogmatu o nieomylności?

Niechęć ku szlachcie, którą mu p. Pieniążek z jowiszowskiem zmarszczeniem brwi raz po razu wytyka, zaczerpnął Bałucki również ze źródła bezpośredniej obserwacyi. Nie mógł przecież żywić innego uczucia dla tej warstwy społecznej, która grzęzła i grzęźnie w gnuśności, traciła majątki, niemczyła się w Wiedniu bez pamięci na swe słowiańskie pochodzenie, a o kraju przypomniała sobie dopiero wtedy, kiedy autonomia otwarła wrota wyzyskowi, a parlamentaryzm pozwolił kosztem ziomków napełnić kieszenie, cierpiące na suchoty. Dość było mu wyjść w nocy na Rynek i popatrzeć na wiecznie oświetlone okna „Kasyna“ szlacheckiego, gdzie panowie, „czoło narodu,“ jednej nocy tracili fortuny, gdzie konserwatywni publicyści grali znaczonemi kartami, a zgrane ofiary prowadzili potem do swego seraju, niemal jawnie utrzymywanego. A że nie patrzy jednostronnie, przyznał mu to sam krytyk, mówiąc, że i mieszczańskie grzechy widzi i karci surowo.

P. Pieniążek nie zaznaczył tych okoliczności, boć one nie bardzo były mu na rękę. Dlatego też w jego szkicu wszystkie jasne strony twórczości Bałuckiego zanikły, są przyciemnione lub naumyślnie zatarte. Jedynie wartościową częścią jest autobiografia Bałuckiego, skreślona na prośbę autora. W tem krótkiem opowiadaniu przebija się cała istota duchowa twórcy *Białego murzyna*: humor, łacno chwytający za serce i szczera prostota, będąca zarazem świadectwem, że Bałucki w życiu wykonywał te same zasady demokratyczne, które wygłaszał w swych dziełach. Dla tych też kilku kartek polecamy ów szkic badaczom najnowszej literatury. O p. Pieniążku zaś mamy wyrobione zdanie, które wyraziliśmy na samym wstępie. Nie zdziwiłoby nas atoli, gdyby już za kilka miesięcy aureola sławy opromieniła jego skronie, a to dlatego, że konserwatyści mistrzowsko władają sztuką stugębnej reklamy i swych stronników umieją pchać naprzód.

Dowodem tego najlepszym jest Michał Bobrzyński, jego *Dzieje Polski* i *Dziejów* tych rozgłos. Wiadomo, jaką wrzawę obudziło pojawienie się tego dzieła, jak gorąco chcieli jedni wartość jego wywyższyć, drudzy zniżyć. To drugie stronnictwo atoli złe zajęło stanowisko, walczyło bowiem o zasady, przelewając z próżnego w próżne. Tymczasem tutaj należało przyłożyć skalpel zimnej, naukowej krytyki. Wtedy ogół dowiedziałby się, że ma przed sobą posąg, w każdym razie nie szczerozłoty, a na glinianych stojący nogach. Z niedostatecznej wiedzy autora zerwanoby maskę popularnych poglądów. Czy z braku taktycznych zdolności, czy z powodu niedostatecznego przygotowania przeciwnicy ataku z tej strony zaniechali. P. Bobrzyński swobodnie, wesoło a niezasłużenie pławił się w wysoko wzdętych falach powodzenia. Doszło do tego, że gdy późniejsi krytycy wytykali mu dość nawet ważne błędy faktyczne, dziękował im za to, iż „wskazali zecerowi pomyłki.“

Nareszcie dr. August Sokołowski, jeden z najwytrawniejszych naszych historyków, jeno zepchnięty na drugi plan przez stańczyków dla niezależności przekonań, wystąpił do walki. Z iście mrówczą cierpliwością przejrzał pierwszy tom trzeciego wydania *Dziejów* i napisał ocenę.

Treść krytyki wypełnia nie metafizyczna walka z wiatrakami, lecz gruntowna polemika, na aktach historycznych oparta. Zbija w niej p. Sokołowski i podział dziejów na okresy i charakterystykę epok i pojedynczych postaci. Zaznaczymy to choć jednym przykładem dość jaskrawym. I tak p. Bobrzyński twierdzi, że Kazimierz Jagielończyk „nie opiekował się należycie miastami,“ a za dowód przytacza znaną sprawę Andrzeja Tęczyńskiego. Tymczasem w Kodeksie dyplom. miasta Krakowa znajdujemy dokumenta, świadczące, że król o miasta dbał zawsze, a jedynie w sprawie Tęczyńskiego odstąpił od zwyczaju dla wielu nader ważnych przyczyn. Tej niescisłości historycznej profesor uniwersytetu mógł uniknąć, gdyby staranniej przeglądał źródła. A musiał przecież o nich wiedzieć, bo je tuż pod jego bokiem wydał serdeczny przyjaciel, członek Akademii, dr. Piekosiński. Takich nieścisłości znalazła się moc duża. Wreszcie na samym końcu znajdujemy aluzyę do owego podziękowania w zastępstwie zecera. Oto jej dosłowne brzmienie: Zdawałoby się, że po tem uprzejmem podziękowaniu, trzecie wydanie *Dziejów* p. B. wyjdzie bez błędów, bo i autor i zecer mieli czas i możność poprawienia tekstu i tych fatalnych zmyłek drukarskich, które w pierwszej i drugiej edycyi się znajdowały. Tymczasem los zawistny, zapewne w przymierzu z zecerem, wypłatał znów figla autorowi i rozrzucił w książce jego cały tuzin niesprostowanych erratów.“ Po tem następuje spora garść pomyłek, wielce rażących.

Wywody p. Sokołowskiego można ostatecznie streścić tak: W *Dziejach* znajduje się dużo rozsianych błędów, które pochodzą bądź z braku odpowiedniego przygotowania się autora, bądź wskutek wtłaczania naukowego materyału w gotowe, doktrynerskie ramki. Ponieważ ramki te zdobi pozłocisty szych barwnego i poczytnego stylu, a doktryny swe autor napozór zastosował do potrzeb chwili, stąd wziętość dzieła. W gruncie rzeczy dużo tam fajerwerkowych błysków, które mogły olśnić ogół, na usta atoli poważnego badacza wywołują pogardliwy uśmiech. Przeszłość poucza, że już dużo dzieł, będących właściwie politycznemi broszurami, utonęło w fali zapomnienia. Taki a nie inny los spotka i książkę Bobrzyńskiego za lat kilka, gdy zmienią się zapatrywania i upodobania mas.

Prawie bez zastrzeżeń zgadzamy się na ów sąd wytrawny. Wiemy bowiem zbyt dobrze, że *Dziejami* jako sztandarem powiewało i powiewa nad głową stronnictwo krakowskie. Chciało wykazać ono, rządząc dobą dzisiejszą, że i w przeszłości jego jedynie program był zawsze rozumnym, okazywał się *zdrowym*, iż i wówczas tylko tacy ludzie nieśli pożytek ogółowi, których śmiało możnaby nazwać „protoplastami“ stańczyków.

Cios p. Sokołowskiego, dobrze wymierzony, rozwiewa te złudzenia i te pragnienia. To też, o ile wiemy, wywołał on popłoch w konserwatywnym obozie, tem większy, że pp. augurzy, śpiąc na zdobytych laurach, nie spodziewali się napadu.

A. N.

KARTKI NAUKOWO-ESTETYCZNE.

Tatuowanie. Każdy z nas od dzieciństwa prawie słyszy o tej dziwnej manii czy zwyczaju pokrywania ciała ludzkiego wykłuwanymi rysunkami, ale rzadko komu udaje się spotkać z naukowem objaśnieniem procesów, na zasadzie których ciało ludzkie tak niezatarcie utrwala narzucone sobie desenie. Daleko więcej zajmowano się dotąd badaniem tatuowania ze stanowiska etnologii, niż histo- lub fizyologii. Wykryto, że najbardziej jest ono rozpowszechnione śród ludów dzikich, co najlepiej może tłomaczy nie tyle uczony ile poeta Teofil Gautier w swym *Konstantynopolu*: „Prawie wszyscy marynarze mieli ramiona tatuowane na czerwono lub niebiesko; człowiek najsurowszy czuje instynktownie, że wszelka ozdoba kreśli nieprzebytą nigdy linię graniczną między nim a zwierzęciem, i gdy nie może pokrywać haftem swej odzieży, haftuje na własnem ciele.“ W naszym stanie cywilizacyi potrzeba ta coraz słabiej bywa odczuwana i jak przekonywają dane statystyczne, jedynie przez klasy niższe i to przeważnie na połu-

dnio zachodzie, we Francyi, Włoszech i Hiszpanii. Tatuowanie stało się upodobaniem pewnych szczególnie warstw narodu: marynarzy, żołnierzy, prostytutek, zbrodniarzy, ci jednakże nie uprawiają artyzmu tego na tak szeroką skalę jak plemiona Afryki i Australii, które prócz korpusu, przyozdabiają bardzo chętnie i twarze swe.

Tam też rysunki na ciele odgrywają taką mniej więcej rolę jak u nas galony na rękawach, czapkach i kołnierzach wojskowych: służą do wyróżniania wodzów najrozmaitszych stopni.

W Europie głównie dwa kolory bywają w użyciu: niebieski i czerwony, często też oba znajdują się w jednym rysunku. Najpospolitszym wszakże jest niebieski; jest on przytem najwydatniejszym i odbija od tła skóry nawet wtedy, gdy ta jest brunatną lub mocno przepaloną żarem słonecznym. Desenie bywają najrozmaitsze: symbole profesyonalne, imię i nazwisko kobiety ukochanej, sceny miłosne itp. Wogóle eros przeważa.

Zdawałoby się, że zabarwienie niebieskie otrzymuje tatuator przez napuszczenie skóry farbą niebieską? Za pomocą troskliwych badań mikroskopijnych uczony francuzki G. Variot doszedł do pewności, że tak nie jest, że substancya absolutnie *czarna* daje wrażenie barwy błękitnej. Kolor zaś czerwony osiąga się przez wpuszczenie drobinek substancyi czerwonej matowej. Sam proces tatuowania tak się mniej więcej przedstawia. „Artysta“ rysuje najpierw ołówkiem lub piórem deseń na skórze a potem nakłuwa go igiełkami, już moczonemi w odpowiedniej cieczy, trzyma je on w liczbie trzech lub czterech niby malarz pędzle. Do rysunków błękitnych rozpuszcza w wodzie najpospoliciej tusz, rzadziej węgiel miałko sproszkowany, niekiedy proch strzelniczy, a w wyjątkowych razach farbkę. Do czerwonych używa się karminu albo ciemnej cegły tłuczonej. Niezbędnym warunkiem utrwalenia barwy w rysunku jest nierozpuszczalność proszku, we właściwem, chemicznem tego słowa znaczeniu. Cząsteczki winny być zamieszane w wodzie; gdyby się w niej dokładnie roztwarzały, płyn w ten sposób otrzymany zamiast pozostawać w nakłuciach byłby pochłaniany przez skórę.

Nakłócia są zazwyczaj dosyć głębokie, dosyć bolesne, ale krwawią mało. Za każdem nakłóciem pozostają w skórze cząstki farby. Variot próbował tatuowania na brzuchu młodego psa i przekonał się, że cząsteczki te łatwo można odnaleźć później, jakkolwiek nie bez pomocy mikroskopu, wbrew przyjętemu mniemaniu. Obrażenia skóry, operacyą powodowane, należą do zabliźniających się bardzo łatwo. Zniszczona na razie tkanka goi się bardzo prędko i bez protestu gwałtownego przystosowywa do narzuconego sobie ciężaru. Objawy zapalenia miejscowego są, co prawda, nie rzadkie, ale daleko słuszniej byłoby je tłomaczyć niedostateczną czystością igieł niż delikatnością skóry ludzkiej lub szkodliwością materyj zabarwiających.

Variot zebrał niezbite dowody, że cząsteczki farb rozchodzą się po samej skórze, a naskórek zostaje nietkniętym; mają one nadto szczególną, nie dającą się na razie wytłomaczyć dążność do grupowania się dokoła naczyń krwionośnych a porównanie skóry osobników, tatuowanych dawno, tj. lat kilkadziesiąt temu, ze świeżymi wytworami naiwnej tej sztuki, wykazuje tę dążność jasno. Pewna liczba cząsteczek rozchodzi się jednak dalej nieco bo aż do dróg limfatycznych. A Virchow, Follin i inni śledzili je aż w gruczołach limfatycznych.

Ale skąd pochodzi dziwne na pozór zjawisko, że farba czarna daje kolor niebieski? Przyczyna bardzo prosta. Większość cząsteczek węgla — analiza wykazała, że przeważa on w tuszu, wyrabianym w Europie — obiera sobie siedlisko w połowie całej grubości skóry, jest więc oddzielona od oka naszego całą grubością naskórka i połową przynajmniej grubości skóry. Kolor czarny jest więc widziany nie bezpośrednio, lecz przez warstwę tkanki biało-szarawej, grubą na pół milimetra. Stąd pozór błękitny. Tak samo i żyłki pełzające pod skórą, a zawierające krew prawie czarną, wydają się sznurkami niebieskimi i dodajmy nawiasem, przyczyniające cerę, są niemałym czynnikiem w sprawie podobania się.

Trwałość zabarwienia w rysunkach tatuowanych jest tak wielką, że niema sposobu zatarcia ich. Nie pomagają tu żadne pomady i lekarstwa zewnętrzne. Jedynym skutecznym środkiem jest... zniszczyć skórę, o czem przekonał się osobiście Variot, usilując na prośbę jakiegoś pacyenta zmazać nieprzyzwoity rysunek na piersiach jego.

Czasy więc trochę się zmieniły. Niegdyś tatuowanie czyniło człowieka świętym i nietykalnym. Opowiada Herodot, że gdy Parys uprowadził Helenę, ażeby nie wpaść w ręce wysłańców Menelausa, musiał schronić się u brzegów przylądka Kanopejskiego, nieopodal od świątyni Herkulesa i czemprędzej kazał się tatuować, ażeby być uważanym, wedle przyjętego dogmatu, za poświęconego bogom. A dziś? Dziś, jak opowiada Goncourt, tatuowanie stało się właśnie symbolem powszechnej i pożądanej tykalności, jak tego dowiodła pewna sylfida, ozdobiwszy łono swoje wymownym napisem: *Liberté, fraternité, egalité.*

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Taki mostek, którego nie ma. — Sposoby rozgrzewania czytelników.—Dlaczego mężczyzni się nie żenią. — Dom zbudowany na jednym slupie.— Złe warunki dla słupów. — Odpowiedź i wniosek dla siedzących na koszu. — P. Fraget idący za radą Prusa. — Winowajcy. — Nowy zakaz na kolei Nadwiślańskiej. — Jasnowidztwo oszczędności. — Niestracona nadzieja. — Jubileusz hipoteki w *Gazecie sądowej*. — Nowy zdrój humoru.— Głosowanie w sprawie hypnotyzmu. — Szczególny sąd. — Uwaga Chałubińskiego.

— A tam dalej — mówi w jakiejś powiastce żydek — jest taki mostek, co go nie ma.

Do tego mostku podobnem jest obecne lato. W kalendarzu istnieje, ale w rzeczywistości go nie ma. Skutkiem tego pisma wymyślają sobie rozmaite „kwestye,“ czyli sposoby sztucznego rozgrzewania się. I tak *Kuryer warszawski* wytarł skostniałą opinię publiczną ostrą szczotką konceptów hypnotycznych p. Ochorowicza; natychmiast *Codzienny*, który w wyścigu ze współzawodnikiem nie chce być pobity nawet o pół głowy i również pragnie ociepląć swych abonentów, rzucił między nich narkotyczne pytanie: czemu mężczyzni się nie żenią (a naturalnie — i kobiety nie idą za mąż)? Ponieważ wielu ludziom tematy do artykułów przychodzą podczas przejazdu dorożką, rozmowy z wesołą tancerką lub raportu policyjnego o wypadkach dnia, więc od pierwszego twórcy tej „kwestyi,“ który dla obradowania nad nią rozesłał wici do czytelników, nie wymagałem usprawiedliwienia interpelacyi. Ot może poprostu spotkał na ulicy trzech podstarzałych kawalerów razem idących, albo może jakaś strapiona matka kilku córek na wydaniu szepnęła mu skargę — i wystąpił. Tem mniej głosy, padające w urnę *Kuryera*, a dobywane ze stosunków jednostkowych, mogły dać jakieś uzasadnienie, chociaż do nich dołączyła swój energiczny autorka— 365 obiadów. Ale należało się spodziewać, że Prus, który ślubował dozgonną miłość statystyce i z nią pod rękę ukazuje się na wszelkich rozprawach publicznych, objaśni nas: skąd powstało pytanie — czemu mężczyzni nie żenią się i czy istotnie statystyka wykazała w roku bieżącym lub przeszłym znaczny ubytek małżeństw? Niestety i on zapomniał o swej towarzyszce. Musimy więc uwierzyć na słowo *Kuryerowi*, że tak jest, i postawić sobie następujące zagadnienie akademickie: jeżeli ilość związków małżeńskich spada, jaka tego objawu przyczyna?

Wątpię bardzo, ażeby ktoś zagadnienie to zdołał rozwiązać w zakresie pewnej pory czasu bez żadnych innych środków, prócz natchnienia, domysłów, spostrzeżeń i logiki. Bo jakże np. wytłomaczy, czemu liczba małżeństw po miastach w całym naszym kraju (z wyjątkiem gubernii płockiej) była (według Załęskiego) znacznie mniejszą w r. 1872, niż w 1871? Dlaczego w gubernii łomżyńskiej zmalała blizko do połowy? Dlaczego wzrosła w płockiej? Wiadomo, że chociaż te akty odbywają się za sprawą nieba, zależą ciągle od cen żywności, warunków politycznych itp. wpływów, które tylko bardzo drobiazgowem badaniem wyśledzić można. Skoro wszakże rozpatrzymy tę sprawę w większym obrębie miejsca i w dłuższym przeciągu czasu, wniosek wypłynie nam na wierzch łatwo. Mianowicie rodzina jest to dom zbudowany na jednym słupie; równolegle przeto ze zmniejszeniem się siły podparcia zmniejsza się częstość budowy. Innemi słowy: rodzina jest to (zwykle) jeden wytwórca, dźwigający na swych barkach wielu spożywców. Tym słupem, tym wytwórcą bywa przeważnie mężczyzna. Ogólny postęp cywilizacyi, który z rodziny, jako instytucyi ekonomicznej, wyłączył rozmaite zadania (była ona dawniej: szkołą, restauracyą, piekarnią, szwalnią, pralnią, fabryką sukna, płótna itp.) i zapomocą podziału pracy powierzył je osobnym przedsięwzięciom, nadto rozwój produkcyi kobiecej ulżył ciężarowi męża i ojca. Ale dotąd jeszcze nosi on, zwłaszcza w krajach mniej oświeconych, ogromne brzemię: musi kilkoro istot nakarmić, odziać, ukształcić itd. Jeżeli więc do tej pory życia, w której dążność do małżeństwa — „tendence au mariage“ — jak mówi Quetelet — objawia się najsilniej (od 25 — 35), nie zdoła on oprzeć się na swem stanowisku dość mocno dla dźwignięcia ciężaru rodzinnego i jeżeli lekkomyślność lub zawodna gra nie popchną go do ryzyka, cofa się przed niem. „Wszędzie — powiada wspomniany statystyk, gdzie rodzina może żyć wygodnie, tworzy się małżeństwo.“ Czyli naodwrót: wszędzie, gdzie małżeństwo jest rzadkiem, wygodne utrzymanie rodziny musi być trudnem. Zdaje mi się, że dla uznania tej trudności nie potrzeba u nas obecnie zbyt długo szukać dowodów. W naszem społeczeństwie przeciętny mężczyzna około r. 30 życia nie może jeszcze być słupem, utrzymującym wielogłowy dom rodzinny.

Z wniosku tego wysnuwa się drugi, wskazujący radę osamotnionym i osadzonym „na koszu“ aniołkom. Muszą one porzucić szkołę „idealnego powołania kobiety, w której uczą się „habiller, déshabiller et babiller“ — ubierać, rozbierać i świergotać, a przejść do innej, która je nauczy pracy produkcyjnej. Wtedy dom stanie na dwu słupach i ludzie będą go częściej budować.

Wtedy również nie będzie taką zgrozą brzmiał w prasie wyrok p. Frageta, skazujący 11 swych oficyalistów na utratę miejsc za krytykę jego działalności fabrycznej i moralnej w kilku pismach. Według *Kuryera warszawskiego*, zacny ten pan tak wziął do serca radę Prusa, ażeby ze swymi pracownikami obszedł się po ojcowsku, że po niej wydalił jeszcze paru dodatkowo. Nie mogąc wykryć zdrajcy tajemnic swej gospodarki (którego *nb.* nie ma), wypędza wszystkich, ażeby ugodzić między nimi i winowajcę, czyli wbrew przysłowiu perskiemu, nie mogąc znaleźć pchły, pali całą kołdrę. Kołdra zaś prosi przez publiczne ogłoszenie tego, kto dostarczył redakcyom szczegółów do biografii p. Frageta, ażeby się odsłonił i ocalił niewinnych od kary. Czyniąc zadość temu zadaniu, meldujęę: my korzystaliśmy z doniesienia Eliasza Higginsa, członka towarzystwa angielskiego „Lord God of mercy,“ który gościł w Warszawie i badał tutejsze stosunki fabryczne. Niektórych wiadomości udzielił nam łaskawie p. Filip Narowski, który pisze dzieło w tym przedmiocie, a szczegółowo przed-

stawi zakłady p. Frageta. Czy wystarczy to oświadczenie?

Charakterystyczną cechą czasu obecnego jest zakazomania, wsadzająca nos tam, gdzie dla niego całkiem miejsca nie ma, gdzie zupełna swoboda jednostki niczyjemu interesowi nie zagraża. Na dziesięciu posiadających nad innymi jakąś władzę, ośmiu myśli ciągle o tem, czego by im wzbronić. Oswoiliśmy się już z tą manią, ale gdyby anglik lub francuz czytywał nasze pisma, zdumiałby się nad ilością prywatnie produkowanych zakazów i nie mógłby pojąć, jaką sztuką śród tylu *nie* żyć można... Najpłodniejszą fabryką ograniczeń stała się od pewnego czasu droga Nadwiślańska. Wątpię, czy sam p. Halpern wie, co jego służbie wolno. Nie wolno żądać wynagrodzenia za pracę dodatkową, nie wolno upominać się o pensye w terminie, nie wolno otrzymywać lekarstw w naczyniach aptecznych, nie wolno chorować, jeść do syta, wypoczywać, a dzięki p. Hantowerowi, inżenierowi kolei, nie wolno teraz dróżnikom obsiewać swych skrawków ziemi zbożem. Rozporządzenie to należy również do klasycznego systemu oszczędności i ma zapobiegać pożarom od iskier wyrzucanych przez lokomotywę. Szan. prawodawca nie czekał nawet na jeden wypadek, któryby usprawiedliwił jego chimerę—droga Nadwiślańska bowiem jeszcze ani razu nie miała takiego kłopotu; wystarczyło mu jasnowidztwo. Bystry wzrok ducha oszczędności spojrzał w przyszłość i dojrzał w niej płonące żyto dróżnika, potem las cudzy, potem proces i... wyszedł zakaz. Ponieważ wszystkie paski pól, wydzielonych dróżnikom, leżą przy torze kolejowym, zakaz ten więc usuwa zupełnie uprawę zboża z gospodarstwa biedaków i skazuje ich wyłącznie na kartofle. Wiadomo, że karmienie się samymi kartoflami doprowadza do idyotyzmu; tym środkiem więc zarząd drogi Nadwiślańskiej osiągnie dwie korzyści: zapobiegnie pożarom i uzdolni odpowiednio swą służbę do kornego przyjmowania i podtrzymywania systemu jego okólników.

Oddając tej przezornej rachubie, co jej się należy, ciągle jeszcze nie tracę nadziei, że ona wreszcie zwróci na siebie uwagę organów tamujących „swobodę" wyzysku. Od czasu jak państwo zajęło się strażą i obroną klas pracujących, powoli rozpostrze swą opiekę nad wszystkiemi ich grupami. Fabryki już posiadają swoich inspektorów, którzy osłaniają robotników od tyranii, a często wytaczane przez nich procesy i kary wymierzane na wyzyskiwaczów tworzą niejaką tamę dla samowoli. Mają również takich inspektorów koleje — może więc z tej strony nadejdzie pomoc. Droga zaś Nadwiślańska przedewszystkiem doprasza się o Herkulesową miotłę.

Gazeta sądowa uczciła 300 rocznicę zaprowadzenia u nas hipoteki osobnym jubileuszowym numerem, na który złożyli się pp. O. Balzer, W. Nowakowski, F. Jeziorański, M. Fierich i W. Holewiński. Nawet niespecyalista z dziwną rozkoszą odczyta ten numer poświęcony wspaniałej instytucyi, która przeważnie jest naszem dziełem a dziełem wielkiej mądrości. „Polska—według p. Balzera — miała racyonalnie urządzoną hipotekę już w wieku XVI, dzięki ustawie z r. 1588. Ustawa ta wyprzedziła prawa innych narodów o całe dwa wieki." Jak ona się rozwijała, jak za wzór innym służyła, jak nieprędko za nią w Europie podążano, o tem ciekawi dowiedzieć się mogą w *Gazecie*. Tu tylko zaznaczam uroczyste nabożeństwo, odprawione przez kapłanów Temidy przed jednym z jej ołtarzów naszej fundacyi oraz to uczucie chluby, jakiego doznajemy na widok dzieła, w którem objawił się geniusz narodu i które jak obelisk granitowy jego chwały przetrwało śród burz trzy wieki i trwać będzie długo. Światło czynów przeszłości pada na teraźniejszość odbłaskiem wesela — i dlatego radują nas promienie tego jubileuszu. Cieszy nas każdy dowód przekonywający, że byliśmy i jesteśmy czynnikiem ważnym w cywilizacyi. To więcej warte, niż wyścig wioślarzów do Płocka lub podróż cyklistów do Wiednia, albo nawet pojednawcza rola, jaką między powaśnionymi przedstawicielami inteligencyi w Studzieńcu odegrała panna — Czaki.

Niech Bóg da p. Ochorowiczowi najdłuższe życie i milion Krawczyńskich (kucharka tego nazwiska jest główną podporą „nowych metod leczenia" u nas), niech go strzeże od pań B. (jedna z nich — według d-ra Lubelskiego — oddana panu O. na kuracyę, w nadzwyczaj krótkim czasie pod wpływem praktyk magnetyzmu czy hypnotyzmu życie zakończyła), niech go rublami wynagrodzi za widowisko, jakie nam sprawił. Takie potoki mimowolnego humoru dawno już u nas nie tryskały. I chociaż szan. wojski metaloterapii już „przerwał i róg odjął — echo jeszcze gra." *Kuryer warszawski* rozesłał kwestyonaryusz do rozmaitych ludzi znanych, z prośbą, ażeby objawili swoje zdanie w sprawie — hypnotyzmu. Więc mu je nadesłali lekarze—skąpo, a najliczniej — prawnicy, komedyopisarze, krytycy itd. Ten sąd przysięgłych, to głosowanie blacharzów i litografów w kwestyi felczerskiej jest szczytem, „którego" *Figaro* dotąd nie dojrzał. Mnie się zdaje, że pp. Kraushar, Wolff, K. Zalewski, P. Chmielowski, wraz z niżej podpisanym, mogą tylko rozprawiać o postępowaniu, o sumienności, o etyce lekarskiej p. Ochorowicza, a resztę zdać osobom i pismom medycynie służącym. Czcigodny i ukochany prof. Chałubiński, odmówiwszy z właściwą mu grzecznością udziału w *Kuryerowym* sejmiku, rzekł doskonale: „wszelkie głosy w pismach codziennych, za lub przeciw kwestyi wypowiedziane, do niczego nie doprowadzą, tj. ani rzeczy samej nie objaśnią, ani nikogo przekonać nie mogą, a to dlatego, że ani nie są właściwemi szrankami po temu, ani kompetentny, mający kogoś obowiązywać sąd."

Czyli: niech *Kuryer* zamknie swą suterenę dla rozjaśniania „najważniejszych zagadnień nauki lekarskiej," p. O. zaś niech przestanie naśladować Boulangera i odwoływać się do mas w sprawie naukowej, a natomiast poprosi o otwarcie mu organów specyalnych, jeśli w nich ma coś do powiedzenia więcej, niż koncepty, wykręty, przycinki i listy nieśmiertelnej Krawczyńskiej.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Nasze muchy i pająk. — Zmiana projektu w Radomiu — Kolonie dla dzieci, czy wody siarczane? — Przedstawienia teatralne na cele dobroczynne. — Szkoła realna dla radomian. — Kruche kamienice i krucha uczciwość kamieniczników. — Jak się bawią w Brzezinach. — Sklepy spożywcze. — Bezsilne cło i siła przedsiębiorczości niemieckiej.

Przed kilku laty w całej niemal gubernii radomskiej muchy i muszki szlacheckie, a nawet mszyce chłopskie i mieszczańskie były do głębi wzruszone wieścią o zamieszkaniu śród nich ogromnej wielkości i siły pająka, który spostrzegłszy, iż w Galicyi zanadto obszernie sieci rozsnuli jego towarzysze, postanowił szukać lepszej doli w sąsiedztwie. Nie omylił się. Nici jego w niezamąconym spokoju nabierały z dniem każdym coraz większej mocy i długości, aż nareszcie doszły do rozmiarów kilku kamienic w Radomiu, młynów w okolicy i opasały kilkanaście majątków ziemskich. Powstał brzęk wielki śród much rozmaitego gatunku. Mnóstwo ofiar obumarło w pajęczynie, a jeszcze więcej męczyło się w bezowocnym wysiłku. Lecz oto nagle zaszedł wypadek, który jednych raził piorunem oburzenia, drugich — podziwu. Przed dwoma laty p. W., obywatel ziemski, okrzyczanem lichwiarzowi złożył w ogłoszeniach *Gazety radomskiej* publiczne podziękowanie za to, że ten „podźwignął go z niedoli," spłacając pożyczkę innego, zniecierpliwionego lichwiarza. Przejęty uwielbieniem dla swego dobrodzieja, podniósł w sobie upadłego ducha, pobudził rączość zanikającą i wkrótce doprowadził zachwianą posiadłość do kwitnącego stanu. W chwili, gdy marzył o oswobodzeniu się z zależności materyalnej, a pozostaniu tylko dozgonnym przyjacielem swego zbawcy, nagle spada nań straszny grom z jasnego nieba: sprzedaż ojcowizny drogą *subhastacyi*. Dobroczyńca dopełnił *eksmisyi* — jak donosi organ radomski — w sposób brutalny i barbarzyński. Delikatne przedstawienia komisarza sądowego nie mogły powstrzymać zapędów zgrai obdartusów wynajętych przez finansistę. Z pól i pastwisk spędzono wystraszone bydło, wyrzucano i łamano sprzęty, ładując je na wozy. Do rozpaczy rodziny W. dołączyło się współczucie włościan, którzy z płaczem i jękiem żegnali wygnańców z pod strzechy rodzinnej. Podobno lichwiarz wspólnie ze swym doradcą już po wyzuciu z mienia p. W., przy ostatecznem regulowaniu rachunków, pod naciskiem wymógł na nim dowód piśmienny, że „nie ma żalu i pretensyi, że żywi moralne przekonanie, jakoby kapitalista wywiązał się wobec szlachcica z wszelkich zobowiązań." Smutny to i wstrętny wypadek, ale może swoją jaskrawością oddziała dodatnio na innych, którzy zechcą się schronić pod skrzydła lichwiarskie przed widmem ruiny. Dziś większość zachwianych posiadaczów ziemskich, obarczonych pożyczkami bankowemi, widzi tylko jedyny ratunek na powyższej drodze, chociaż każdy z nich wie, że taki środek jest przedłużeniem męczącego bujania się w powietrzu, że pierwej czy później trzeba będzie runąć. Pieniądze wzięte na wysoki procent nie mogą wzmocnić osłabionego, przeciwnie — wywołują w nim większą gorączkę, trawiącą go do szczętu. Tymczasem w wypadku z Radomskiego spostrzegamy znamienny rys: szlachcic znalazłszy dobroczyńcę, spłacającego zań sumę uciążliwą, oddycha swobodnie, pracuje wytrwale i prędko majątek zachwiany doprowadza do kwitnącego stanu. Byłby może za lat kilka uwolnił się od długów i jaśniał przykładem dla okolicy, ale naiwny i łatwowierny stał się dzwonkiem alarmującym dla innych. Oby wydzwonił solidarność śród ospałych i samolubów. Ziemiańskie stowarzyszenia wzajemnej pomocy mogłyby nie siatki pajęcze, ale już łańcuchy lichwiarskie potargać.

Dzwonią i pisma prowincyonalne, usiłując na wzór Warszawy rozbudzić śród ogółu współczucie dla wynędzniałej dziatwy miejskiej. Radom prześcignął wszystkie inne miasta szybkiem uskutecznianiem pięknych zamiarów: koncert się powiódł na wzmocnienie wątłych ciałek, składki posypały się, już miano wysyłać dzieci na wieś, wtem w gronie rajców zabrzmiało *veto*: Radom jest miastem niewielkiem, dokoła posiada pola, łąki i zarośla, łatwo z ulicy wydostać się na świeże powietrze, zresztą i w murach przecież jest dostateczny — jął ktoś dowodzić. Jakto? mamy w tym roku urządzać kolonie letnie, kiedy jeszcze kwestya nie jest należycie przedyskutowaną? — wołał jeden ze znawców cierpień ludzkich. Trafił tem do przekonania i... kolonij nie będzie. Ale na pocieszenie wasze czytelnicy dodam, że między oblewającymi zimną wodą zapaleńców są specyaliści, którzy starają się sprawie tej nadać obrót pomyślniejszy na innych podstawach. Wiadomo, że z nędzą idą w parze choroby dziecięce tak zwane zołzowe, czyli skrofuliczne i krzywicowe, czyli angielskie. Takim prócz powietrza potrzeba skromnej, ale posił-

nej, zdrowej strawy i leczenia kąpielami siarczanemi, solankowemi itd. Otóż p. F. S. w *Gazecie radomskiej* radzi wysyłać dzieci chore do wód siarczanych w Solcu, gdzie podobno mieszkanie, życie i kąpiele są bardzo tanie. Nadto zarząd tamtejszy ma zwyczaj wydawać dla biednych kilkaset wanien co rok bezpłatnie, a więc prawdopodobnie tutaj byłby jeszcze względniejszym. W zmianie projektu jest więc taka różnica, że tylko dzieci widocznie chore otrzymają zasoby sił żywotnych, zaś setki innych, *słabowitych* będą i nadal wątleć i umierać w cuchnących norach nędzarzy. Może chyba projektodawcy „po należytem przedyskutowaniu“ kwestyi w ciągu jesieni i zimy, rozszerzą swe plany na przyszłe lato...

Zanim stare projekty dojrzeją i przekwitną, powstają nowe, mniej lub więcej doniosłe. W Radomiu garstka ochotników dobrej woli, namacawszy słabą stronę muru ogradzającego uczynność ludzką, zamierza robić tam wyłom zapomocą stałych przedstawień teatralnych na cele filantropijne. Wytrwania im życzę i pomyślnego skutku. Tamże gazeta kołacze o szkołę realną dla miasta i spodziewa się jej wkrótce. Kolej Dąbrowska świeżo po narodzeniu się myślała o szkole technicznej dla dzieci swych oficyalistów, ale sprawa ta zamarła, pomimo, że na to już jakaś suma była przeznaczona. Warto, aby teraz zarząd owej drogi przelał swe poparcie materyalne na ogólnie żądaną szkołę realną, gdzie nie będzie ograniczenia kandydatów stanowiskiem ich ojców.

Oby tylko wszelkie zamiary i dobre chęci nie były tak kruche, jak dzisiejsze kamienice. Przed kilku miesiącami pisano o zawaleniu się prawie jednocześnie dwóch nowych domów, w Lublinie i Mińsku Litewskim, obecnie doczekała się tego Łęczyca. Obeszło się bez wypadku z ludźmi dzięki tylko opieszałości lokatorów, którzy zwlekali z wprowadzeniem się do najętych mieszkań i temu — że kamienica runęła o 5-ej zrana, druzgocząc cheder żydowski, pusty jeszcze o tak wczesnej porze. Nawet stróż, mieszkający w nowych murach, spostrzegłszy chwianie się ścian, zdołał umknąć szczęśliwie z dzieckiem. Nie wyświetlono dotąd przyczyny, ale można z góry przewidywać, że jest ta sama, co w innych podobnych wypadkach, albo niedbalstwo majstra murarskiego, albo chęć właściciela wystawienia z jaknajmniejszej ilości cegły jaknajwiększej kamienicy. Czyż można dziś myśleć o budowaniu trwałych domów, a tem samem o życiu setek ludzi, kiedy stagnacya nawet na kamieniczników podziałała tak silnie, że muszą się ratować fortelami? W Łodzi posypały się na nich szeregi skarg. Właścicielka pewnego domu każdemu zgłaszającemu się mówi, że wprawdzie nie ma pustych mieszkań, ale dla niego się znajdzie, bo go bardzo lubi. Powtarza to nawet nieznajomym. Obietnice takie trwają do ostatniej chwili, aż nareszcie interesant się dowiaduje, iż dawny lokator pozostał nadal, ponieważ zobowiązał się płacić wyższe komorne. Wówczas współzawodnik zmuszony ostatecznością, podbija cenę i wnosi się do mieszkania, które stało pustką. Inny właściciel wielkiego domu, wziąwszy od przyszłego lokatora 10 rubli zaliczki, przysłał po kilku dniach z zapytaniem, czyby nie chciał zrzec się wynajętego mieszkania, gdyż dawny chce pozostać. Lokator przystał, ale gdy następnie zażądał zwrotu zaliczki, gospodarz wyparł się wziętych pieniędzy. Majątek owego kamienicznika obliczają na pół miliona rubli.

Powszechny *zastój* najsmutniej się odbija na stronie umysłowej prowincyi. Korespondent z Brzezin (w *Tygodniu piotrkowskim*) skarży się, iż z wyjątkiem kilku ludzi myślących, reszta po za obowiązkami oddaje się głębokiej drzemce, pijatyce, kartom, plotkom, czytaniu na cudzą niewinność i niedoświadczenie. Za to organy trawienia muszą u tych ludzi być w porządku, inaczej by się nie rozwijał świetnie miejscowy sklep spożywczy, pomimo intryg wielu zawistnych osób, które zapewne często muszą mieć do czynienia z apteką. W Dąbrowie Górniczej taki sam sklep „Nadzieja“ przeszedł również przez ogień knowań wrogich, a dziś cieszy się ogromnem powodzeniem. Rzadki to objaw w naszych stosunkach. Za to do znamiennych i powszednich zaliczyć można wyrwanie smacznego kąska przez obcych z zębów naszych rolników. Długo kołacząca się myśl obłożenia cłem nasion buraków cukrowych, doczekała się urzeczywistnienia z początkiem roku bieżącego. Tym sposobem zabezpieczywszy się od wwozu, rolnicy tutejsi zapomnieli o przedsiębiorczości plantatorów niemieckich i nie przewidzieli konkurencyi wewnętrznej. Przybysze wskutek nowego ograniczenia celnego wpadli na myśl urządzenia własnych plantacyj w obrębie Królestwa Polskiego. Na przyszłe pole uprawy nasion buraczanych (donosi *Wiek*) obrano dobra v. Treskowów w Kutnowskiem. Umowę pomiędzy właścicielami a dzierżawcą już zawarto i roboty przygotowawcze są na ukończeniu. Plantacye zajmą znaczny obszar ziemi, za który tenutę dzierżawną z góry już wyliczono za lat pięć w ilości 10,000 marek. Tak się robią interesy przez gości w naszej zagrodzie.

Drogomir.

PRASA RUSKA.

Nowoje Wremia ze wspomnienia historycznego o połączeniu się Małorosyi z Wielkorosyą (1654) za sprawą Chmielnickiego takie wysnuwa uwagi o Polsce:

„W ciągu tych dwustu lat Polska postradała swój byt samoistny, a militarno-arystokratyczna Rzeczpospolita, trzymająca w swoich rękach miliony ludu ruskiego i litewskiego, należy już do przeszłości, z drugiej strony jednak polonizm i jezuityzm nie stracił jeszcze swojego znaczenia. Wszak jeszcze w r. 1863 podjęto poważnie myśl, czyby nie poświęcić im znacznej części Rosyi zachodniej? Nie mówimy już o małorusinach Rusi chełmskiej, którzy dotychczas jeszcze jeszcze należą urzędownie do Królestwa Polskiego i pomiwoli korzystają ze szczątków staropolskiego ustroju państwowego, które ocalały jeszcze w guberniach nadwiślańskich.

„Choćbyśmy atoli wykluczyli Polskę zupełnie z szeregu czynników politycznych, mogących wpływać na zmianę mapy środkowej Europy, to i w takim razie zlanie się południowej Rusi z północną nie straci nic na znaczeniu. Polska i składowa jej część Litwa, za której pośrednictwem małorusy dostali się pod władzę polaków, zjednoczyła się i spotężniała jako obronny wał przeciwko naciskowi niemców, rozszerzających się szybko na Wschodzie już w X i XI stuleciu. Wypadki polityczne, a zwłaszcza waśnie religijne, osłabiły na pewien czas nacisk niemiecki, ale w drugiej połowie XIX w. ujrzeliśmy znowu nowy rozkwit sił niemieckich. Niemcy zajęły w środkowej Europie tak potężne stanowisko, rozporządzają taką siłą, że żadne drugorzędne państwo słowiańskie sprostać im nie może. Jeżeli więc małorusy i polacy pragną zachować słowiański swój charakter, jeżeli nie życzą sobie smutnego losu słowian nadłabskich i nadbałtyckich, to nie pozostaje im nic innego, tylko trzymać się i nadal oburącz wschodniego, prawosławnego cesarza. Jest to nieuniknione prawo historyi, a najmniejsze nieposłuszeństwo będzie zgubą dla odstępców.“

Zadawszy sobie następnie pytanie, czy Małorosya skorzystała na tym związku, dziennik petersburski sądzi, że „jest to kwestya bardzo drażliwa i powikłana,“ że w niej nie należy brać pod uwagę faktów oderwanych, wykazujących pozorne upośledzenie, lecz rysy ogólne i wyniki ostateczne. A te świadczą tylko o korzyściach małorusów, którzy w Rosyi używają szczęścia i swobody, a w Galicyi — znoszą niewolę i ucisk.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Uroczystość dziewięćsetletnej rocznicy przyjęcia chrztu na Rusi odbyła się w Warszawie d. 26 i 27 lipca. W soborze prawosławnym odprawiono nabożeństwo i urządzono procesyę przez ul. Miodową, Krakowskie Przedmieście i podwórze b. zamku królewskiego ku Wiśle. Na brzegu rzeki odbyła się ceremonia poświęcenia wody przez duchowieństwo prawosławne, jednocześnie dano 101 wystrzałów z armat, ustawionych na przeciwległym brzegu.

Poczta. Z powodu częstych nieporozumień przy wydawaniu korespondencyj osobom, posiadającym upoważnienia adresatów, główny zarząd poczt wydał rozporządzenie, aby wszelkie korespondencye i przesyłki adresowane do osób prywatnych, towarzystw lub instytucyj, wydawane były posiadającemu upoważnienie do odbioru, z zastrzeżeniem wszakże, iż jedna osoba może posiadać plenipotencye tylko od dziesięciu adresatów.

Ambulatoryum bezpłatne przy szpitalu św. Łazarza wkrótce będzie otwarte.

— Ambulatoryum dla zwierząt przy ul. Leszno powstało przeważnie kosztem p. Jana Stopczyka, członka zarządu Towarzystwa opieki nad zwierzętami.

Stypendya. Oprócz sześciu stypendyów imienia zmarłego dr. Walentego Kaczorowskiego, warszawskie Towarzystwo lekarskie ogłasza, iż z początkiem roku akademickiego 1888/9 wakować jeszcze będzie stypendyum w kwocie rs. 240 rocznie z legatu d-ra Ignacego Gołębiowskiego, zmarłego w Kamionce, studentowi wydziału lekarskiego uniwersytetu warszawskiego, krewnemu zapisodawcy lub w braku tegoż — innemu z niezamożnych.

Wystawa szkiców. Salon artystyczny spółki malarzów, rzeźbiarzów, architektów i pracowników na polu sztuki stosowanej, w listopadzie r. b. otwiera we własnym lokalu specyalną wystawę, na którą przyjmowane będą: 1) wszelkiego rodzaju szkice z zakresu malarstwa, rzeźby i architektury; 2) malowidła na szkle, porcelanie, materyi, drzewie, metalu itp., oraz wszelka inna ornamentyka z uwzględnieniem kierunku praktycznego przedmiotów; 3) projekty, ich części i szkice na artystyczne meble, bronzy, przedmioty ślusarskie, tokarskie, ceramiczne, snycerskie, rumiarskie itp.; 4) projekty i szkice na dekoracye wszelkie kościołów i mieszkań prywatnych.

Stacyę miejską kolei Terespolskiej otwarto przy ul. Królewskiej. Oprócz sprzedawania biletów zajmuje się ona przyjmowaniem i wysyłaniem bagażów. Jednocześnie na stacyi miejskiej głównego Towarzystwa kolei ruskich rozpoczęto sprzedaż biletów, przyjmowanie i wydawanie bagażów na drogę Nadwiślańską.

Józef Jaworski, warszawianin, otrzymał miejsce docenta nauk przyrodniczych na politechnice w Karlsruhe. Znanym on jest z kilku dzieł specyalnych w języku niemieckim.

Ignacy Łyskowski w Berlinie otrzymał stopień doktorski na wydziale prawnym. W przeszłym roku przyznano mu złoty medal za najlepszą rozprawę.

Kongres książkowy z inicyatywy polaka, Henryka Merzbacha, odbędzie się za miesiąc w Brukselli.

W Anglii w ostatnich czasach weszło w zwyczaj ubezpieczanie na życie dzieci. Okazało się, według doniesienia pastora Waugh, iż w wielu razach dzieci takie bywają o przedwczesną śmierć przyprawiane. Tym sposobem tysiące niemowląt giną co rok.

Od piorunu d. 22 z. m. zgorzał zamek hr. Bathyany'ego, Inelly, pod Preszburgiem. Spłonęły sprzęty i zbiory milionowej wartości.

Nowa ustawa fabryczna, opracowana przez ministeryum skarbu, obowiązywać zacznie od r. 1889 w całem państwie, z wyjątkiem Syberyi.

Wybuch w kopalniach Magny i Moncau les Mines, pozbawił życia siedmiu górników. Zabici pozostawili 22 sierot.

Ofiara. Bogaty przemysłowiec londyński i wielki miłośnik muzyki, Samson Fox, ofiarował 30,000 f. st. na budowę nowego konserwatoryum muzycznego.

W Meksyku wskutek niesłychanie obfitych deszczów, nastąpiła straszna powódź, niszcząc wszędzie zasiewy, mosty i tory kolejewe. Największa katastrofa nastąpiła w m. Leon (stan Guanajuato), gdzie runęło 2.200 domów. Z pod gruzów zdołano wydobyć przeszło 200 trupów. Około 10,000 osób pozostało bez dachu i mienia. Ludność meksykańska nadzwyczaj szybko pospieszyła z pomocą dla cierpiących z Leon. Zebrano przeszło pół miliona franków.

W Symbirsku pożar zniszczył dwanaście głównych ulic. Większość domów nie była ubezpieczoną. Zginęło 4-ch ludzi (*Prawit. Wiestnik*).

Z Zurichu donoszą, iż rząd tamtejszego kantonu postanowił przyjść z pomocą z kasy kantonowej dotkniętym powodzią Wisły.

Z Poznania donoszą, iż koloniści niemieccy nie mogą się zastosować do nowych warunków bytu; wielu chciałoby powrócić do swych dawnych siedzib. Gospodarstwo w Zdniechowie pod Gnieznem, zakupione przez kolonistę Aleksandra Schliepera, poszło nakazu naczelnego prezesa na subhastacyę. Na Szlaku jednemu z kolonistów odebrała komisya sprzedaną kolonię; dwu innym sprzedaje żyto za zaległe procenty, podatki itd.

W Rawiczu (Poznańskie) na poczcie skradziono zapomocą dobranych kluczy około 40,000 marek z szafki okutej żelazem. Złodzieje zabrali tylko złoto i trochę banknotów; srebro (w trzech baryłkach) zostawili. Dyrekcya poczty w Poznaniu wyznaczyła 1,200 marek nagrody za wykrycie złodziei.

W Lipsku otworzono szpital dla zwolenników homeopatyi — pierwszy jedyny zakład tego rodzaju w Niemczech.

Szkoły. Liczba podań o przyjęcie do petersburskiej Akademii medyko-chirurgicznej dosięgła w roku bieżącym do 300, z których będzie uwzględnionych tylko 131.

— Nowowstępujący studenci uniwersytetu warszawskiego będą płacili, jak wiadomo, 100 rs. wpisowego. Powstała obecnie kwestya, ile mają płacić studenci, pozostający na kursie po raz drugi.

— Zapisy na uniwersytet warszawski rozpoczynają się z d. 13 sierpnia i trwać będą przez dni dziesięć. Potrzebne są dowody następujące: metryki, świadectwa z ukończenia gimnazyum, dwie fotografie, świadectwo pochodzenia. Kto skończył gimnazyum roku zeszłego lub dawniej, musi złożyć świadectwo policyjne o dobrem prowadzeniu się. Uczniowie z innych okręgów naukowych muszą przedstawić pozwolenie gubernatora, albo dowody, że mają majątek lub krewnych w Warszawie.

Liczba corocznych emigrantów włościan na osadników do Syberyi, według doniesień dzienników petersburskich, dosięga 40,000.

Ruda żelazna. We wsi Michałówce o trzy wiorsty od Garwolina, włościanin Jan Kozica, rozkopując w zeszłym tygodniu ziemię w ogrodzie, natrafił na rudę żelazną. Sprawą eksploatacyi zajął się miejscowy inżenier p. K.

— W Jagodnem pod Bzinem otwarto kopalnię żelaza.

Burza ogromna w ubiegłą sobotę srożyła się wzdłuż kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Na wielu stacyach po za Skierniewicami pozrywała dachy, poprzewracała słupy telegraficzne, ze stacyi Kłomnice porwała kilka wagonów towarowych, które wstrzymano na 6-ej wiorście. W Dąbrowle wichura pozrywała dachy, porozbijała wagony, platformy. Silna ulewa uszkodziła plant kolejowy pomiędzy stacyą Dąbrowa i kopalnią Golonóg.

Literatura. Nowe dzieło Renana p. t. *Dramaty filozoficzne*, ukaże się wkrótce w Paryżu nakładem Calmana i Levy.

Zmarli. Józef Sporny, w Otwocku, inżenier, ur. w r. 1817 w Warszawie. Pracował nad urządzeniem zdroju pod Bielanami, około budowy bulwarów i wind na komorach wodnych w Warszawie i Nieszawie, przy zakładaniu magazynów solnych na Solcu, nad uregulowaniem Prosny pod Kaliszem, usplawnieniem Narwi, osuszeniem błot pod Kozienicami, osuszeniem pobrzeży Bzury. Był pomocnikiem głównego inżeniera Warszawy. Przed dwudziestu laty skreślił pierwszy zarys dzisiejszej kanalizacyi, oraz planu melioracyi w Jassach (Rumunia). Pracował około budowy kolei Bydgoskiej, Libawskiej i Brzesko-Kijowskiej. Był współzałożycielem i kierownikiem przedsięwzięć asfaltowych i hydraulicznych w Warszawie. Drukował mnóstwo artykułów. Brał udział w odczytach popularnych, w wydawnictwie podręczników rzemieślniczych. Wydał *Hydraulikę agronomiczną*.

— Ludwik Michalski, w Szwajcaryi. Walczył zrazu z niedostatkiem, następnie na wyspie Sumatrze założył wielkie plantacye tytoniu pod nazwą „Polonia." Na nich dorobił się znacznego majątku. Cała Szwajcarya znała go jako prawego obywatela, a rodacy — szlachetnego opiekuna i przyjaciela. Dopomagał głównie uczącej się młodzieży. Testamentem przekazał znaczne sumy na cele dobroczynne.

— Jan Karol Houzeau, głośny w świecie naukowym astronom i przyrodnik, b. dyrektor obserwatoryum królewskiego w Brukselli. Pozostawił wiele prac naukowej wartości.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

J. C. Poświadczamy, że posiadasz Pan potrzebne do pisania anonimów przymioty w całkowitej gamie, od bezmyślności w twierdzeniach, aż do kłamstwa w podpisie.

P. J. Ł. w Baku. Wiersz jest bardzo ułomny, nie zwróciliśmy go Panu, gdyż rękopisów, jak o tem uprzedza każdy numer *Prawdy*, nie zwracamy pocztą. Jeżeli Pan pragnie go odebrać w kopercie rekomendowanej, prosimy o nadesłanie administracyi naszej odpowiednich marek.

P. Ad. Wol. Najlepiej bezpośrednio zwrócić się do Krakowa.

P. J. Del. w Krem. Adres podany w doniesieniu: Zakłady fabryczne Szejblera.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Іюля 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.